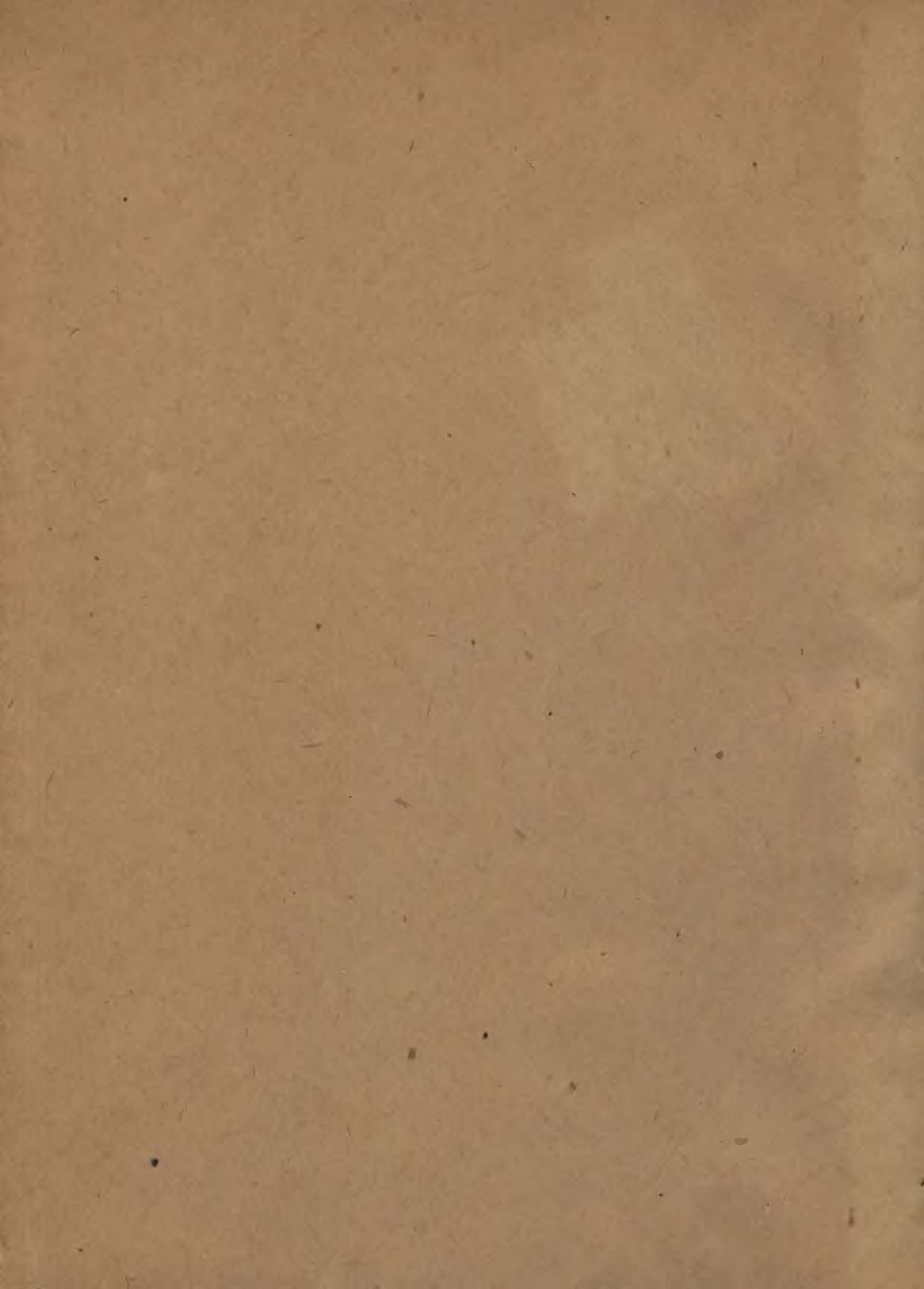






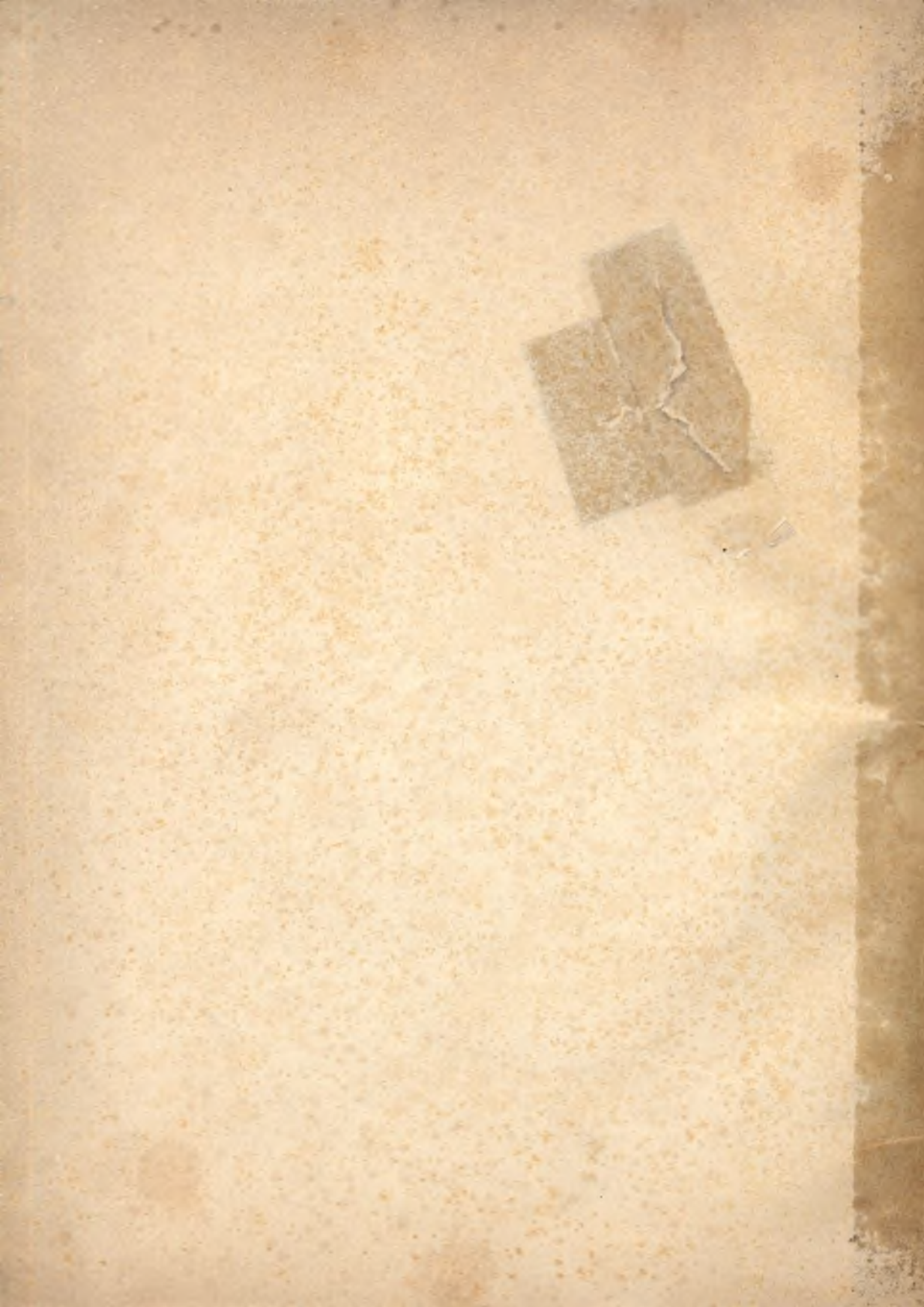


6976/12
MACIEJ
SZUKIEWICZ

★ NA GŁĘBIACH ★

KARTA TYTUŁOWA
WEDŁUG OBRAZU
P. STACHIEWICZA





NA GŁĘBIACH

MACIEJ SZUKIEWICZ

LPI Sh

371900

I



Składy główne:

S. A. Krzyżanowski — Kraków

E. Wende i Sp. — Warszawa

1913.

Czcionkami Drukarni Naukowej. Warszawa, Mazowiecka 8.

K-42/6086
22.5. 601

NA GŁĘBIACH.

Prawo przedruku i przekładu zastrzeżone.

Już mrok zapada. Usnął wiatr bezuzdy,
Omdlały żagle i ucichły mewy,
Nigdzie najmniejszej zmarszczki ani bruzdy —
Ogromna cisza objęła zalewy.
Cisza tak święta i taka bezdenna,
Że dusza w piersi przebudza się senna,
Pogląda w gwiazdy, rozpościera skrzydła
I w przestwór leci... Precz więzy i sidła!



Sam przez się, woli nieugiętej mocą,
Trwam i nie mijam. Podemną gdzieś w dali
Mgły niekształtowne w próżni się chybocą
I wirowisko niekielzanej fali

Przelewa głucho. Razporaz na głębi
 W rozwartą gardziel straszliwego wrzyska
 Wicher się wśliźnie, tarza się i kłębi,
 Drze topiel w płachty, z płacht kręci biczyśka
 Skręcone żenie gniewem swego płuca
 I chłoszcze odmet. Zachwiał się olbrzymi
 Nurt w swoich tajniach, ze snu się ocuca,
 I pianą parską, i tumanem dymi,
 I dyszy zemstą. Już u widnokręga
 Tysiąc się wichrów z łona wód wylęga,
 Tysiąc fal wzdyma, tysiąc gór wydzwiga,
 Pęcznieje, rośnie, w jeden hufiec sprzęga
 I ku pogromcy z głuchym ciągnie grzmotem,
 I na pogromcę z czarnych paszcz swych rzyga
 Parą i błotem. On dojrzał je zdala
 I wzgardził drobnym żywiołu pomiotem
 I długo milczał, jak ten, co pozwala
 Patrzyć w majestat majestatu wrogom.
 Wreszcie się zachnął, gdy go zwartem kołem
 Węsząc obsiadły. Zaszumiał złowrogo,
 Wspiął się, w słup skręcił, zakołysał czołem,
 W nabrzmiące karki wciągnął pierś i stopy,
 Owinał chmurą, strasznym ryknął gromem
 I lunął z góry. Myślałem, że stropy
 Z kresu w kres pękną pod jego ogromem,
 Gdy całem cielskiem na łby im upadnie
 I na pył zmiażdży i potrze do szczętu —
 Ale nie pękły; tylko gdzieś aż na dnie
 Zakotłowało i ucichło nagle.

I już nie było nigdzie wśród odmetu
 Zgiełku ni wrzawy, jeno chmurzysk żagle
 Wiały w krąg mirem nad ciszą żywiołów,
 Uśpionych w mroku.

A wtem się mgłom zdało,
 Że plac odzierzą, gdy ciężkie jak ołów
 Legną na wodach. Przypadły nawałą,
 Pełzają cicho, zstępują się, dzielą,
 Tratują zatop i dławia i gniołą —
 I pewnie moc-by wzięły nad topielą,
 Gdyby się odmet nie przebudził oto,
 Nagłym z ich jarzma nie otrząsnął dreszczem
 I na bój nie wstał. Już poszły w zapasy
 Groźne potęgi: miecą na się deszczem,
 Plutami sieką, nawskrós bodą gromem,
 Pył z pyłem, atom zмага się z atomem,
 Trzask, ryk, wir, zamęt, szal żywiołów, CHAOS...

Moje go tylko widziały wywczasy
 W otchłani wieków. Odwieczny i święty,
 On jeden krasą swą dorastał krasy
 Żądz mych niesytych, i wart był zaiste,
 Aby nie przepadł w tej pustce i czczości.
 Więc wyciągnęłam ramię nad odmetry
 I nowy żywioł wywiodłam z ciemności
 Mocą mej woli. I weszło do szranek
 Światło rześiste, blask był coraz szerszy — —

I stał się wieczór i stał się zaranek —
Dzień pierwszy.



Olśnąłem, patrząc na ten pożar nocy,
Którym rozziały się wczorajsze ciemnie,
Na tę pożogę zrodzoną z mej mocy,
Z chuci mej twórczej, z woli mojej, ze mnie.
Samego siebie olśnić samym sobą!...
Powstańcie, chmury! wyrwijcie się złobom
Wilgotnych cieśni, mokre na wiatr włosy
Rzućcie, rozdeszczcie, rozwichrzcie, rozburzcie,
W złociste konwie naczepnijcie rosy,
Złociste konwie przedemną połóżcie,
Ratunek nieście przestworom!

Powstały — lecą i gorą...

Bieżajcie, wichry! wymknijcie się miechom
Bezdennych otchłisk, rozpuśćcie zagony,
Stańcie zaporą strasznym ognia wiechom,

Zwiążcie je lodem, oszczędź i szrony,
Ratunek dajcie przestworom!

Powstały — lecą i gorą...

Kędyście, wody wy niżnie i wyżnie
I wy z pobliza i owe z oddali?
Roztwórzcie łona! niech z waszych łon bryźnie
Zbawcza ochłoda gaszącej żar fali.
Na pomoc, na pomoc przestworom!!

Powstały, lecą i — — — gorą!

Powstały, kręcą się, lecą
W płasach, miotłach, wieńcach, wstęgach,
Ogniem zieją, ogień niecą
Na najdalszych widnokręgach,
A gdy wpadną w topiel wodną,
Ani bledną, ani chłodną,
Jeno nowe skier wylęgi
Z nich wywodzą, — przez zatopy
Ognistymi wieją snopy,
Z chmury złotych żagw i drzazg
Jarzącymi pyłą deszcze...
Trwajcie, płóńcie jeszcze, jeszcze!
Bierzcie ze mnie żar i blask —
Ze mnie płynie ognia fala,
Z kuźni płuc mych, z żądź mych pieca
Bierzcie, czerpcie, pijcie, żłopcie!

Ubytek mnie tylko podnieca
 Ubytek mnie tylko rozpala.
 Jeszcze ówdzie szron i lód,
 Jeszcze ówdzie czarne kopcie —
 Z piersi moich ognia cud
 Bierzcie, czerpcie, pijcie, żłopcie

Piją i żłopią nienasytne mroki,
 Jednemu mnie dostępne brodła —
 Piją i żłopią nienasytne ciemnie,
 Wylewam z siebie światła potoki —
 I jednej kropli nie ubyło ze mnie,
 I żądza nie ochłodziła.
 Wylewam z siebie blasków strumienie
 Płyną a płyną, noc ich nie schłepce,
 Ledwo nadpите walą się wstecz,
 Obiegły kręgiem nieba rubieże,
 Złotym wyrajem brzęczą i krążą,
 Coraz ciaśniejsze toczą pierścienie,
 Złote niewody z nich wiążą...

Znam te misterne więcierze
 I chwalby złote oklepce —
 Przeczulem, przejrzałem was, precz!
 I niechaj będzie rozpostarcie,
 Wody dzielące od wód,
 A wodom górnym da oparcie
 Oblany nurtem spód,
 I niech padoły i wyżyny
 Od siebie się oddziela —

Ty, rozpostarcie nad topielą,
Bądź NIEBEM tej godziny!

I stało się tak. Nim błysło me ramię
Na dwie połowy pękły mokradła,
I górna górne wzięła zamię,
A dolna w dół opadła.
I górna poszła w górnych kręgach,
Przez jasnych dżdżów potoki.
A zaś na gnuśnych w dole łęgach
Wiatr chodził, czczość i mroki,
Na wyżach ognia leżał wianek,
Na dołach zmierzch ponury —
I stał się wieczór, i stał się zaranek,
Dzień wtóry.



Czekałem długo, czyli śpiący gnuśnie
Odmęt nie ocknie się, nie poda wiatrom,
Nie zaskowyta, pianami nie chluśnie?
Czy nowe mocy, wstawszy zeń, nie natrą

Na siebie gniewne? czyli waśń zajadła,
 Rozkołysawszy straszliwe bezedno
 Wyprze nareszcie z stęchłego mokradła
 Ukryte na głębiach sedno?

Czekałem długo, czyli rdzeń tworzywa,
 Wszystko, co w tajniach na ocknienie czyha.
 Co w miąższyć się ścina, z mięszo w ciecz rozpływa
 I rozplątne parami oddycha, —
 Czyli to wszystko, co tęskniąc za kształtem
 W głuchych snach o tem, czym kiedyś będzie,
 Skruszy okowy? gwałt płacąc gwałtem,
 Na wierzch się wydobędzie?

Czekałem długo... Łęg rozmokły
 Lenistwem ział, jak wprzód;
 U stóp się moich czasy wlokły
 Wiekami sennej zmudy.
 Czekałem długo ponad rzapią —
 A w tem rozgrzmiały prądy:
 Niech wszystkie wody w jedno miejsce zstąpią,
 A z wód niech wyjdą lądy!
 Przeklęty żywioł, który drzemie,
 Kiedy ja czuwam i tworzę —
 Spłyn w swe łożyska szumne MORZE,
 Spłynąwszy — ukaż ZIEMIĘ.

I stało się tak. Pojrzałem w dół:
 Na męty, szumy, piany, wiry
 Oślizły naprzód wychynał muł,

Czczy piasek i czcze żwiry,
 Oślizły naprzód wychynał ił
 I ciężkich glin zakalce —
 Próżno się miotał nurt i wylł
 W zażartej z nimi walce,
 Próżno bałwany na nie zwał,
 Grzbiet deptał, chłostał pianą —
 Nieulęknioną, dumną ścianą
 Z wód wyszły zręby skał.

O wy, nadchmurne, niebolotne,
 Przedwieczne, niezniszczalne,
 Nieujarzmione i samotne
 Wyżyny moje skalne!
 O wy, przełęcz, turnie, granie,
 Upłazy u krzesanic,
 Wy, moje pierwsze miłowanie
 Bez granic!
 Że otrząsnęłyście ze siebie
 Gnuśność iłu, gnuśność gliny,
 Żeście wzgardziły snem ziemi,
 By czoła kołysać w niebie,
 Z gwiazdami mówić złotemi —
 Kocham was od tej godziny!
 Żeście nie chciały na odmętach
 W poziomych leżeć pętach
 Poziomego bryłą gruntu,
 Jeny wyniosły z głębiny
 Fermenty i zaczyny

Pierwszego buntu —
Kocham was od tej godziny

Wy moje i jam wasz!
Wasz dzisiaj w czynu godzinie
I jutro —
Jutro, kiedy po czynie
Mozołem ocieknie mi twarz,
I może zechcę wytchnąć po znoju,
Całą mą istność pośród was rozpostre,
Oddam się wam pod straż...

Nad głową turnie ostre
Na lazurowym postoju,
Dalekie, ciche szczebioty
Roztającego lodowca —
Nad niemi tęczy namioty,
Pod niemi siklawic grzywa.
Sam śród skalnego manowca,
Jedyna istność żywa —
Nademną tęczy namioty,
Podemną siklawic grzywa,
Czas wstrzymał rączy loty,
Chwil drobne rwą się ogniwa —
Nad niemi tęczy namioty,
Pod niemi siklawic grzywa.
Wieczności pieśń — cisza — spływa
Z błękitów nieba w pierś moją,
Sny mi się dziwne roją...
Nad głową turnie czarne

Na lazurowym postoju;
 Niebo w ramiona garnę,
 Piję i piję ze źródła
 Samotni, ciszy, spokoju, —
 O, te wywczasu...!

Ja nieznam, ja nie chcę wywczasów!
 Żyję jedynie, gdy tworzę!
 Precz rygle, precz więzy zasuw!
 Świat cały w otchłani czasów
 Czekaj, aż zdejmę obroże
 I pchnę go w kręgi bytu.
 Pękajcie, bryły granitu!
 Podniebne wy i wy ukryte pod wodą,
 I wy, piaszczyste wydmiska,
 I ty, próchnico czarna,
 Jałowa, niekształtowa,
 Ranami spiekłych szczelin wymowna —
 W trzewia twe ciskam ziarna.
 Niech twe macice wywiodą
 Wszelakie ziele wydawające owoce,
 Wszelaką trawę i sitowiska,
 Wszelakie drzewo, co liściem łopoce,
 Dęby i buki i brzosty,
 Miedziane sosny i brzozy srebrne,
 Wszelakie mchy i porosty,
 Wszelakie pleśnie nietrzebne,
 Wszelką morszczyznę, co włos zielony
 Na prądach wody czesze —
 Wstawajcie! wschodźcie! niech się nacieszę

Waszą zielenią, — w ziemi spalonej
 Orają mej woli lemieszce,
 Wstawajcie, wschodźciel..

Powstały.

Dywanem się ścielą pod stopy,
 Runią wybiegły na skały.
 Nad runią strzeliły w snopy,
 W burzany, bory i knieje.

Szedłem przez liścia zawieję,
 Przez cetyn dżdże i ulewy,
 Pomiedzy najgęstsze trawy,
 Pomiedzy najgęstsze krzewy,
 Smagan przez ljanów wicie,
 Przez różgi wiklin i osty,
 W nieznane wdzierałem się życie.
 Naoślep gnałem skroś krwawej
 Rozkosznie bolesnej chłosty,
 Bo rozkosz była w męczeństwie.
 Włos mi się darł kędzierzawy,
 Twarz mi się darła na strzępy,
 Raniłem goleń o kłacze,
 A kiedy w chraść się zapłaczę,
 Zębami rozrywam bluszcze,
 Piersiami przepnuwam gęstwę —
 I w coraz dalsze ostępy
 I w coraz dalsze puszcze
 Zapadam, zanurzam się, tonę
 W szumiące morze zielone,
 Dalej, pokotem paprocie,
 Pokotem masztowe skrzypy!

Chcę tarzać się na pokocie,
 Złote wytrząsać osypy,
 W osypów tych płasać złocie —
 Pokotem skrzypy, paprocie!

I zasię zrywam się z ścierni
 I wichrem w gęstwi ponoszę —
 Czy dębów bór się wkrag czerni,
 Czy polan nęcą rozkosze,
 Rękami, jak kosą, koszę,
 Stopami miazdżę, jak młotem —
 Jako zdźbła traw na pomieci,
 Las się obalił wykrotem,
 Deszcz kwiatów z pod stóp mych leci,
 Pęki róż, lilij, sasanek —
 I wieczór zastał mię na tem i ranek —
 I tak dokonan dzień trzeci.



Dokonan trzeci dzień poza mną leżał już
 I falą wonnych tchnień i szumem kłóśnych zbóż
 Na głębiach.

U kolan mych się łąsił,
 U nóg się moich wił, hosanną pod nie słał.
 Czadami woni bił, chcąc uśpić żądz mych szłał
 I wierząc, że mych sił już zasób we mnie stłał
 I strawił się i zgasił;

Że wąż kwiaty łąk, mlecz złoty, rudy szczaw,
 Wanilli wonny strąk, pień cedru czy żdźbło traw
 Jest wszystkim już, co zdołam, —
 Że im wystarczy rość, wystrzelić w barwny kwiat,
 By mą nasycić czczość, bym uznojony padł
 Z okrzykiem słabych: dość! — że w nich mój cały świat,
 Że tryumf już obwołam.

Ty lichy płodzie ziemny, ty lichy, ty bezruchy!
 W istności swej tajemnej wiesz, o czym twórcze duchy
 Śnią?

A wiesz, gdzie wola twórcy sięgnie
 Na jaką głębię rzuci sieć?
 Może w otchłaniach gdzie zastrzęganie
 I taki straszny twór wylęganie,
 Że poczniesz liściem drzeć i mdleć!

A wiesz, gdzie wola twórcy padnie.
 Kędy zarzuci oścień swój?
 Może aż w niebo się zakradnie
 I zbudzi w niem ukryty na dnie
 Dni przyszłych żywy źródło.

A śnię go, śnię go, śnię go właśnie!...
 Czemże wy przy niem, wszystkie twory,
 Skał zręby, kwiatów kolory,
 Cały ty płodzie ziemny?
 Czem wyście przy niem? przy tem, co będzie —
 Co z niczego, z próżni ciemnej
 Dobędę wnet na jaśnie,
 Co, póki ja trwam — nie zgaśnie,
 Co, póki trwam, — nie osiedzie
 Na płytkiej czasów mieliźnie,
 Jeno co dnia szparkim lotem
 Wytoczy się na krawędzie
 I, światło wzbudziwszy bliźnie,
 Zawładnie dni kołowrotem
 I kołowrotem nocy, —
 W którego mocy
 Zawora dni, miesięcy, lat
 I wszystkie chwile w wieczność ściekające,
 I wszystkich świata ład.

W pokłon padajcie, na ziemię!
 Już drży me łono kipiące,
 Dojrzałe pęka brzemię —
 Wstań słońce, słońce, słońce!

Po trzykroć zakląć je musiałem,
 Po trzykroć wolę mą wyteżyc,
 Po trzykroć niebem wstrząsnąć całem,
 Po trzykroć uciemieżyć,
 Nim na huragan mego głosu

Gdzieś, hen! — na krańcach nieba
 Spostrzegłem, jak śród mgieł chaosu
 Płód nowy się koleba —
 Mój płód!
 Zrazu go chciał uwieźć wschód
 Płachtami chmur i mgieł:
 Z tumanów białe sieci prządl,
 Na złoto białe chmury męł,
 Z zmielonych chmur złocisty ład
 Pod stopy jego słał.
 I była chwila, krótki błysk,
 Że ciemnej głab czeluści,
 Zdawało się, już nigdy go
 Ze szpon swych nie wypuści.
 I była chwila, krótki błysk,
 — Mnie wiekiem on się zdał —
 Że mgieł przemożny tłum i ścisk
 Miał zdusić go swą ćmą.
 I była chwila... gdy w tem oto
 Pięć złotych mieczów nad ciemnotą
 Błysnęło wzwyż, błysnęło wszecz —
 I żarkie złoto z złotych dzież
 Poczęło się kaskadą lać
 W olbrzymią wiecznych ogni kadź —
 I nad horyzont, nad mórz łęgiem
 Wybiegło wirującym kręgiem
 SŁOŃCE.

Patrzajcie: dziw! — zagrzmiało z łąk,
 Patrzajcie: dziw! — zagrzmiało z niw,

Patrzajcie; dziw! — zagrzmiało wkrąg
Od mórz, od gór, od kniej.

Patrzajcie: wid! — zahuczał las,
Patrzajcie: wid! — zahuczał szczyt,
Kto żyw, przywdziewaj krasę kras
I hymn pochwalny piej!

Więc najpierw lotne mu obłoki
Przybiegły pokłon dać i cześć —
I spojrzął na nie złotooki,
I spojrzeń tych nie mogły znieść.

Więc zasię góry z pośród siebie
Wysłały najroślejszy szczyt —
I wstał lecz wstrzymał się w półniebie,
I oblał go rumiany wstyd.

Więc jeszcze morza modre głębie
Podbiegły doń z hołdami fal —
On w brzegów wstrzymał je obrębie,
Sam w niebios pomknął dal.

Więc któż cię, kto cię uczi godnie,
O słońce?
Czy może błahe ros pochodnie
Na kwiatkach łąk płonące?
Czy może stepu szumne dreszcze?
Czy wirydarze hal?

Czy złote śród listowia deszcze
Lub w blask spowita dal?

Ja jeden tylko, ja jedynie
Pieśń godną ciebie znam—
Zaśpiewam ci ją sam.
Patrz w oczy moje, patrz mi w twarz,
Złoty swój puhar zanurz we winie,
W perlącem się winie życia.
Ty mnie swój puhar dasz,
Ja tobie głos mój dam!
Ja tobie pieśń mą dam!

„Z słoneczną czaszą w dłoni
„Na góry, na wyże, na szczyty,
„Gdzie oko, gdzie myśl nie dogoni,
„W błękity, —
„Gdzie jeno ja i ty,
„Ja — twórca twój, ty — świata pan!

„Libacją złotych strząsam pian
„Nie tobie wszechżycia czaszo,
„Nie sobie, nie na cześć naszą —
„Otrząsam ją, na wiatr rozlewam,
„Na wichry, na burze śpiewam,
„By śpiewać!

„Nie dbam, że pośród ogromu
„Pieśni mojej nie ma komu
„Słuchać.

„Nie śpiewam jej dla nikogo, —
 „Z ukrytych w mej istności min
 „Wybucham, bo chcę wybuchać,
 „Bo to mój żywioł, mój czyn!“

„Cokolwiek z mroku dzień wyprzędzie
 „Cokolwiek było, jest lub będzie,
 „Jest złudą marną, — to tylko sen,
 „Ulotne echo, zwiewny cień
 „I majak, co się prześni —
 „Jeden jest tylko rdzeniów rdzeń,
 „Wszechwładne słowo pieśni,
 „Co niebytowi grzmi: niech będzie,
 „Niechaj się ucieleśni!
 „Jeden jedyny rdzeniów rdzeń
 „I czynów czyn i bytów byt —
 „Byt twórcy“.

„Dalej na szczyt! na szczyt!
 „Do ust mych, słoneczna czaszo!
 „Ile jest mocy w tobie,
 „Wypiję do dna.
 „Do ust mych czaszo miodna —
 „Złakniony-m twoich win“.

„Jak one krzepią, jak one siłą,
 „Jak one poją, jak one gaszą
 „Pragnienie moje!
 „Tak mocnych, tak słodkich win
 „Nie piłem nigdy jeszcze...

„Jak one poją, jak one koją,
 „Jak one rzeźwią, jak one siłą
 „Piers moja!
 „Tak mocnych, tak słodkich win
 „Nie piłem nigdy jeszcze“...

„Trwaj mi, upojna trwaj chwilo!
 „Niechaj się tobą napieszczę...
 „Na szczycie szczytów stoję
 „I winem światowładcy, i winem światoburcy
 „Piers poję!“

„I żadnych ofiar, żadnych wian
 „Ni hołdów nie pożadam.
 „Dość mi zaprawdę, że mój byt twórcy
 „W całej potędze oglądam —
 „Dość mi, żem twórca i władny pan
 „Nad bytem i niebytem —
 „Złotych strząsnąłem libacją pian
 „I wolny mknę błękitem“.

„Skończony śpiew — precz czaszo z rąk! —
 „Jużes mi pustą czarą.
 „Rzuciłem moją pieśń obszarom...
 „Leć słońce, tocz swój krąg!“

I poleciało precz odemnie,
 Jak leci rzecz bezwłada,
 Jak głaz, jak żuzel, kiedy pada,
 Zaryło się w zachodu ciemnię,

W wieczornych kirów czarną trumnę,
 W ciemnicę próżni bezechową,
 Kędy na mrokach jęczy słowo:
 Biada!
 Biada! po trzykroć biada!
 Choć ono jutro na niebie zawiśnie,
 Roziskrzy się na błękicie —
 Już ani wielkie będzie, ani dumne,
 Już po wskazanej orbicie
 Nieodmiennie i bezmyślnie
 Nad krawędzie, pod krawędzie
 Raz puszczone w ruch — biec będzie;
 Już jego moc zagaśła,
 Już niema takiego hasła,
 By wwiodło je znów do szranek — —
 Tak czułem na ciemniach rozparty,
 I stał się wieczór i stał się zaranek,
 Dzień czwarty.



Dzień czwarty, czwarta noc. Przestwory
 Dymiły wokół, żaden nie zawiewał

Rzeźwiejszy podmuch, stalowe kolory
 Wyszły na niebo, zenit nieba ziewał
 Gwiazdami. I nie wiem, czyli wzrok mój stępał,
 Czyli świat cały zszarzał tak i zsepał,
 Że w wypełnione mną patrząc przestwory,
 Widziałem jeno pustkę na ciemnościach.

Dzień czwarty, czwarta noc posępna, głucha,
 Straszliwa noc w straszliwych czczościach,
 W okropnych głodach ducha...

Patrzyłem w przestwór, w ciemną dal:
 Najlżejszy nawet nie drżał listek,
 Ziemię i niebo i świat wszystkich
 Szarą swą przędzą osnuł żal.

Patrzyłem w przestwór, w dal... A może
 Zabłyśnie jeszcze na przestworze,
 Z uwięzi mroków się wyśliźnie,
 Tumanem pian złocistych bryźnie,
 Rozgrzeje, olśni?... Ach, daremnie
 Chcieć życiem je obdarzać nowem,
 Kiedy już zgasło, zmarło we mnie,
 Twórczem zabite słowem.

Patrzyłem w przestwór, w pustkę, w siebie...
 A tyż kto jesteś — tam, na wschodzie?
 W kolistych tęczach mkniiesz po niebie,
 Srebrzaną łódką mkniiesz po wodzie;

Przed tobą gwiazdy w korowodzie,
 Za tobą chmur nawala, —
 Twarz twoja trupio - biała
 Szyderczą ku mnie tchnie litością —
 Nie twoją, trupie, błękit włością,
 Niebo nie twoją dziedziną!
 Zimnych twych blasków zimne wino
 Nie krzepi i nie syci. —

Patrzyłem w mroczną pustkę, w siebie:
 I dziw mię zjął, że słowa gniewne,
 Miasto napęlić przestwór złością,
 Dźwięczały miękkie, drżące, rzewne,
 Toczyły się jak łzy po niebie,
 Jak echo bólu, jak cień żalu —
 I omotane w srebrne nici
 Wsiąkały zwolna w sen z opalu,
 W kryształną ciszę, co z miesiąca
 Spływała lotna, jasna, czysta,
 I łzy i ból i żal kojąca,
 Kryształna cisza promienista.

I popłynąłem na jej fali,
 Jak puchy chmur na wichrze,
 Coraz gdzieś głębiej, coraz dalej
 W okręgi coraz cichsze.
 Poniosły mię jej nurty srebrne,
 Potoki jej promienne

— Nie wiem — w podniebne czy w nadniebne
Krainy jawosenne.

Począłem śnić,
Wpółmarzyć i wpółczuwać,
Splątanych myśli wieniec wić,
Z kądzieli twórczej twórczą nić
Wysnuwać —

Począłem znów z chaosu snów
Wyżymać mą odwieczną chuć,
By póty gnuśny miesić łom,
I póty żwać, i póty szczuć,
I siec i gnać we wir i ruch,
Aż się w ospałym ocknie srom,
Aż się w ospałym ocknie duch
I strzeli zeń, jak jasny grom,
I wrzaśnie: oto jestem!

Patrzyłem w mrok... Łom gnuśnie spał
Lenistwem odrętwienia.
Czuł czyli nie czuł on, żem chciał
Nieznanych jestestw ikry łąć,
Dobywać nowych kształtów?
A jeśli w śnie przez upór trwał,
Czuł czyli nie czuł, że mych żądz,
Mych twórczych nad materją gwałtów
Odeprzeć nic nie zdole?

I cóż po krnąbrnym twym uporze
Gdy każeć, gdy chcę, gdy tworzę?

Kiedy na uśpione sfery
 Żelazną mą ciskam wolę,
 Dłoń mą pogrążam w zaciery
 Płodnego mego ducha —
 Patrz, jak się zacier rucha,
 Jak wzdyma się i brzęknie,
 Dygoce w tajniach trzew —
 Sekunda jeszcze — a pęknie,
 Sekunda — a na otchłanie
 Poleci jak zawierucha
 Mój grom, mój czyn, mój zew:
 Niech będzie, niech się tak stanie!

Niech hojnie wywiodą wody
 Płaz duszy żywiącej,
 Skrzydłaste ptactwa narody
 I wszelki się płazający
 Twór. —
 A zasię niech wyda ziemia
 Żywiącą duszę według swojego rodzaju,
 Bydło i płaz, — gniazda i żeremia
 Wszelkiego ziemskiego zwierza —
 I niech się to z nasienia rozmnaża,
 Wylęga, wykluwa, wypierza
 Na świadectwo woli, która stwarza,
 Co chce i jak chce.
 Niech będzie, niech się tak stanie!

Nasłuchiwałem... W sinej mgle
 Tysiączne się ozwały głosy,

Przeciągłe ryki i parskanie,
 I plusk, i świst, i wrzask.
 Chwilami czułem, jak śród błot
 Olbrzymie wiją się połosy,
 Stustope żółwie i jaszczury —
 Chwilami czułem, jak mi włosy
 Muska jedwabny ptaków lot,
 Jak twarz miękkimi pieści pióry
 I, wokół skroni krążąc stadem,
 Na głowę mą nakłada djadem
 Twórcy swojego i pana...
 Dalekoż jeszcze do rana?
 Długoż mi jeszcze czekać tych kras,
 Wzrok niemi paść do syta?
 Przybywaj, dniu! już czas, już czas,
 Niech złoty dzień zaświta!

Nie domówiłem słów tych jeszcze —
 Zaszumiał las, zrózował wschód,
 Współśrodkowe wstrząsły dreszcze
 Falami sennych wód,
 Szeroko chmur wędrownych rozwarły się skroś jurty --
 I wyszedł dzień złocisty złociste deptać nurty.

Spojrzałem, zbladłem...

Nie snem-że to? nie snu widziałem,
 Co tam, nad czarnych wód mokradłem,
 Oślizłe pleśnią, rdzą i zielskiem
 Omierzałem się przewala cielskiem?

Istnieje-ż to, co widzę tam
 Pomiedzy wód sitowiem,
 To coś z łuszczatym tym tułowiem
 Śród rdzawych bagna plam?
 To coś, co z czarnych błot bagniska
 Nakształt rozdartych gromem drzew
 Wytknęło zuchwy, zbrojne w kliska,
 I, żółte piany tocząc z pyska,
 Taki zatruty szerzy ziew,
 Że, kędy pryśnie jad tych ślin,
 Już tam ni mchów, ni traw, ni trzciny —
 Że, gdzie tych jadów kropla spłynie,
 Z pod wypalonych traw zgorzeli
 Coraz to martwy płaz wychynie
 I brzuchem się bezbronnym bieli
 I w najeżoną kłami paszczę
 Wsiąka — i wciąż tak i bez przerwy
 A owo coś językiem mlaszcze,
 Przymruża i rozmruża ślepie
 I pasie kałdun temi ścierwy
 I krwawym pyskiem ziepie.
 Istnieje-ż to, co widzę tam,
 Co skądś z pod chmur się zbliża?
 Istnieje-ż to, czy zmysłów kłam
 Ta latawica chyża,
 Te kostnych lotek dwa wachlarze,
 Wybiegłe z pod kadłuba,
 Rozczepierzone na wiszarze?
 Na piersiach jej z rogów paiza,
 Na grzbietach druga tak gruba,

A w czarnych jamach dzioba
Głód żeru, wszemu zguba!

Kto wy jesteście, przerazy,
Szkarady wy i pokurcze?
Kto wy? wy sny me twórcze?
Wy snów mych twórczych obrazy,
Piękności one, w snach widne,
Piękności niewysłowione!
Wy tak mierziwe, ohydne,
Tak wstrętne, tak splugawione
Szpetotą, dla której nazw niema —
Wy snów mych ucieleśnieniem,
Twórczości mej wyzwoleniem
Wy?!

Precz, precz odemnie
W otchłań, w mrok, w ciemnie!
Ciemnie was urodziły, niech ciemnie poronia! —
Jedną przyzwałem was dłonią,
A teraz przeklinam obiema:
Precz z przed mojego oblicza!
Hej wichry, orkany, tucze,
Tajfuny mroźnej północy!
Odmykam pęt waszych klucze,
W waszej świat mocy. —
Kark wam odpinam z łańcucha,
Brytany lodowoszponne, —

Z szpon waszych kto świat odchucha?
Prócz mego wszystkie tchy płonne!

Wypadły, lecą, śniegiem miotą.
Przed niemi ziąb, za niemi szron —
Chwyciły świat w lodowy szpon
I duszą go i gniołą.
Z jaką rozkoszą one dławia,
Z jaką lubością one duszą,
Nawet nie drasną, nie zakrwawia,
Tylko rozwiodą zimne szkliwa,
Tylko włóknami z szkła oprzędą
I ścisną je i szronem sprósza,
Najmniejsze im nie ujdzie czędo
I nikt nie zgadnie, że tam żywa
Istota kiedyś była na dnie.
Z jaką rozkoszą one dławia,
Z jaką straszną lubieżnością
Chwytają wszystko w mroźne kleszcze,
Jak skrupulatnie, jak dokładnie,
Jak wprawnie, zręcznie... Jeszcze, jeszcze!
O tam, ot tam, pod płaszczem mgły
Chce umknąć jakiś ptaszek mały.
O tam, ot tam ostatkiem sił
Szkarłupień jakiś mniejszy pchły
Mackami swemi w muł się wrył.
O tam, ot tam pod liść zbutwiały
Chce skryć się kilka lichych mszyc!
A teraz nic już, teraz już nic...
Dokoła tylko przestwór pusty,

Na głębiach.

Spowity w białe śniegu chusty,
 A teraz nic już, teraz już nic —
 Nie czuję nawet ognia lic,
 Żadnego wstydu, żadnych mąk
 Prócz tego zimna wszędzie wkrąg,
 Prócz tego chłodu wszędzie wskroś,
 Prócz dreszczu, którym ziemi oś
 Jak przemrożona stal, rozjękła,
 Skrzypnęła, drgnęła i pękła....

— — — — —
 — — — — —

Chodziłem sam pustacią białą,
 Na strasznem chodził zwiady,
 Lodowym się przyglądać zwałam,
 Widokiem paść zagłady.
 Chodziłem sam skroś tuman gęsty,
 Gdzie księżyc nie śmiał wkraść się,
 Gdzie jeno szklistych szczelin chrzęsty
 Dudniały przez przepaście, —
 Gdzie jeno mróz soplistym kłębem
 Piętrowe głązy chwycił
 I rozłupywał je swym tchem
 I rozłupując zgrzytał.
 Chodziłem sam przez gołoledzie
 Po śnieżnych burz rozbluzgu
 Omyć w nim ducha czarne śniedzie,
 Co legły się w mym mózgu,
 Bo legły się zaiste!

Błądziłem sam przez gołoledzie,
 Gdy wtem nieznany świt,

Zielony — jakim płoną miedzie,
Czerwony — jakim płonie lit,
Rozrzucił włosy na niebiosy
I tęczę na nich trwał.
Wiatr go nie gasił w swoim pędzie
Ni śnieżnych tuman burz —
Przecedzał blask swój przez krawędzie
Porosłych lodem wzgórz;
Chmur gęstych go nie imał włók,
Gór nie chełżały tamy,
Na ciemniach rozpiął zorzy łuk — —
Dla kogo są te bramy?
Dla kogo drzwi te otworzyste
Tak niebosiężnej miary,
Że tylko jedne moje bary
Przez takie chodzą wrota?
Dla kogo drzwi te otworzyste,
Któż drugi takiej sięgi?
Jakież śmia mierzyć się potęgi
Z potęgą wszechżywota?
A więc to ty na majestacie!
A więc to ty, olbrzymi cieniu!
Śnieżne brylanty na twej szacie,
Nagie czerepy na ciemieniu,
Zakrzepły uśmiech pośród szczęk,
Miał berła w dłoniach — kośna żerdź,
Miał róż — snorodnych maków pęk...
Poznać: tyś jest Śmierć.

Poznaję cię i wyciągam me dłonie do ciebie,
Potężny cieniu mego ducha,

Mojego ducha przeciwwago,
Potęgi mojej przeciwpotęgo,
Dopełniająca mnie i dzieło moje,
Przepiękna druhnno moja!

Z tobą ja jedną włościami memi w przestworach
Bratnio się dzielę i bratnio włodarzę.
Dwa sfer niebieskich skrajne stopą swą jarzmiąc ruchu
Dwa ruchu skrajne, przeciwległe sobie,
Wszystkich mych planet i wszystkich gwiazd kręgom
Dyktuję prawa bytu i niebytu.
Jesteśmy jako światłość i ciemność, jako dzień i noc,
Jako dłoń prawa i dłoń lewa;
Co światłość gusłami swemi wyczaruje, to ciemność
Co dzień urodzi, to noc poroni, [unicestwi;
Co stworzy prawa dłoń, to lewa dłoń zniweczy,
Co wzbudzę ja, ty gasisz swoim tchem,
Coś ty zgasila, ja rozpalam znów —
Tak władze nasze bratnie są i równe.

Lecz kto z nas dwojga alfą i omegą,
Ostatecznością wszechostateczności —
Ja nie wiem, i ty tego nie wiesz.
Ja nie wiem i ty nie powiesz,
Czy mojej dłoni czyn jest dziełem,
Czy dziełem to, co sprawi twoja dłoń.
Mój-li, czy twój siew nad otchłanią czasów
Otrwa się z swym owocem?

I kto spożyje te owoce
— Moje, czy twoje? wszystko jedno —

I kogo one nasycą,
 I czyje one ugaszą pragnienie,
 I komu będą ku pożytkowi,
 I komu będą ku chwale,
 Komu — czy wiesz ty?

Cisnij to „komu?” na głębie przestworów,
 Nikt go nie przyjmie,
 Nikt nie wysłucha,
 Ani od siebie go odrzuci,
 Bowiem za nami, za mną i za tobą —
 N i c ,
 A wszystkim wieczne zmaganie się nasze
 I przeraźliwa ta w obojgu rozkosz:
 U mnie — gdy tworzę, u ciebie — gdy niszczysz.

Łasym ja na tę rozkosz przeraźliwą,
 Jako i tyś jest wiecznie łasa na nią.
 Sam chciw jej będąc, dam ci tej rozkoszy
 Całą bezdenność, całą nieskończoność,
 Cały jej bezmiar!
 Bo odkąd tyś jest ze mną, druhno moja,
 Dzieło me każde jest jeno etapem
 Żądz mych, lecących w nieskończoność czasów, —
 Bo odkąd jesteś, druhno moja, przy mnie,
 Nie widzę kresu dla mych twórczych lotów
 Ani hamulca dla mych twórczych ramion,
 Ani wędzidla dla mych twórczych chuci, —
 Bo odkąd tyś jest ze mną, druhno moja,
 Ramionom moim nie zbraknie tworzywa,

I mogę brać je i miesić i kruszyć,
 Mogę przetapiać, przelewać, przekuwać,
 Mogę mą wolą z pod całunów lodu
 Dobyc dla ciebie ogrojce rozkoszy
 I twoją kojąc, własną sycić łąsość,
 Moich i twoich żądz uśmierzać głody.

Patrz! tchem gorącym oziewam skrzepły świat!
 I pękło szkliwo zim i całun śniegów spadł.
 Plastyczne z pod całunu wybiegły znowu gliny,
 I ręce moje drżą i złote drżą zaczyny —
 Lecz oto już na niebie słoneczne gasną lonty,
 I wieczór z morza wstał, i ranek wstał — dzień piąty



Pozierajcie, padoły i górcę,
 Jakom wartkich, jakom sprawnych rąk —
 Garncarzowy oto chwytam krąg,
 Mocarnego poznaj, glino, twórcę!

Garncarzowy krąg w mej dłoni warczy,
 Jak grom błyska, jak lawina hurczy —

Wszystkiej gliny na świecie nie starczy
Dla okrutnej żądzы mojej twórczej.

Skroś przebodę was mojemі włócznie,
Do błękitnych przygwoźdżę was posów,
Jeśli z miejsca ruszycie się, jutrznie,
Jeśli zstąpić zechcecie z niebiosów.
Póty nie lża wam rzucać błękitu,
Aż chuć moja omdleje z dosytu,
Aż z obroży was puszcze i zwolę,
Aże taką form mnogość zwytwarzam,
Że w nich, jako w mórz toni, wytarzam
Niecofnioną, wždy twórczą mą wolę.

I stanęły zawściągnione świty,
I stanęły zawściągnione zorze —
Łąd się mrowił, roiły błękity,
Niewidanych kształtów całe morze
Po kropelce kropla przez me dłonie
Wysączyło się ze mnie... Daremnie
Rozpalone mi studzić w niem skronie:
Miał ja tonąć w morzu — morze we mnie
Drobnym pyłkiem przepada i tonie.

Nuże, nuże, garncarzowe kręgi!
Nuże, nuże, garncarzowe koła! —
Gdybyż to choć kroplą potu z czoła
Móc uronić coś z swojej potęgi...

I patrzyły zawściągnione świty,
I patrzyły zawściągnione zorze,

Jak twórczością oszalały tworzę
 I ni szczęśliw tem jestem ni syty.
 I omierzło mi bezruche słońce,
 Twarzą z miedzi w moją twarz patrzące,
 I wyjąłem utkwione w niem gwoźdźce
 I puściłem wolno światłoność.

I pobiegło na mgły kłaść zachodnie
 Złote żagwie i złote pochodnie
 I wysiewać promienie ukośne
 Na topole i świerki wynośne,
 I w rańtuchy spowijać je rośne,
 I utulać w sen słodki na kwiatach.
 A daleko, wysoko w błękicie
 Śród gwieździstych banderij i watah
 Cowieczorne, radosne szły wicie
 O żywiołów spoczynku i mirze.
 Jeszcze tylko spowite w mrok niżej
 Oddychały. Na sinym wód dymie,
 Na wypełzłym z dna jarów oparze
 Kołysały się w ciszy olbrzymie,
 Pozłociste nocy trybularze,
 Siejąc wokół zapachy i wonie
 Od ambr słodsze i od aloesu...
 I zbudziła się dusza bezkresu:
 Tęsknota.

Rozwichrzyła się nagle w mem łonie,
 Niby ognia żertwiennego miotła,
 Tem rozpaczna, że wszystko jej słucha,

Że niesforne żywioły ugniotła
 W kształt dowolny i formę dowolną.
 Wszystko mogę i wszystko mi wolno!
 Dość mi było wyciągnąć w mrok ręce,
 Aby chaos w żelazne wgnieść karby —
 Dość zawołać, by gwiazdy jarzące,
 Wszystkie światła, i blaski, i farby,
 Wszystkie morza i wszystkie ostrowy
 W kształt się zbiegły skończony, gotowy,
 I potulnie skończonemi dzięły
 Stanęły.

A ja buntu, oporu chcę, znoju,
 W gromach trwać chcę i w burz zawierusze,
 Wieczystego z łomem szukam boju,
 Szukam go przez wszystkie bytu kręgi,
 Aż go znajdę, wykrzeszę, wymuszę
 I wyzbędę się władnej potęgi
 I niewolę wszechmocy mej skruszę.

Ejże rażno, bez zwłoki, bez drżenia,
 Bez ulęknień przed czynu ogromem!
 Pod gnuśnością tworzywa i łomem
 Zupełnego śpi mir wyzwolenia.
 Nuże, ręce, a żywo do dzieła!
 Nie czujecież, jak glina skroś drgnęła?
 Nie słyszycież, jak żadna mej mocy
 I wraz trwożna spowiada się nocy:
 „Czarnam-ci, alem wdzięczna“.

Wdzięczna jesteś, choć czarna i śniada,
 I nad wszelkie wywyższona wzgardy.

Oto godów noc, oto biesiada,
Niech wydają swą woń szpikanardy

Jeszcze dotąd ją czuję i pomnę,
Jeszcze dotąd mi noc ta pamiętna,
Wokół tchnęła woń ambry poświętna,
W górze gwiazdy migały stupłomne,
Ale żarem swym nie tak ogromne,
Jako we mnie me puls i tętna.
Wyciągnąłem me ręce, jak macki,
— Ciszej skrzydłem nie wieją puhacze! —
By się wymknąć nie mogła z zasadzki,
Nim ramieniem ją mojem osaczę,
Ani uciec mi gdzieś w zaobłoczce,
Zanim wskroś ją zbrzemienie i stłoczę.
Zaskoczona mą siejbą ofiarną,
Zrazu zerwać się chciała z arkanów,
Płaszczem ciemnej nakryła się nocy,
Skalnym żebrem broniła uścisku,
W oczy pianą bluzgała mi czarną —
Aż nareszcie uległa mej mocy,
Aż poczuła się ze mnie ciężarną,
Aż z nabrzmiąłych jak sutki wulkanów
Krew strzyknęła, a w dziewczem łożysku
Drgnął płód nowy, krew z krwi i kość z kości
Nicestwa i wszechmocności.

O patrz, popatrz, wylękła spójrz maci
Na płód żądz mych, zrodzony z twych glin!
Duchem—mojej to obraz postaci,
Ale ciałem tve dziecię, twój syn.

Z ciebie weźmie on glin twych ospałość,
 Materjalną wszechrzeczy ułomność,
 Ze mnie woli szaleństwo i śmiałość
 I mych myśli straszliwą ogromność.
 Oto w wątle piersi jego wpoję
 Iskrę ducha, dam mu częśćkę z siebie —
 Nie dość mi jest mego twórstwa w niebie,
 Kroci twórców byt w człowieku roję.
 Stań się!...

Skroś leśnych polanek
 Zaszumiało, błysnęło przez chrósty
 I zagasło. I stał się zaranek,
 Ranek stał się i wieczór — dzień szósty.



Leżałem sam jeden,
 Samiuteńki, — dokoła mnie Eden
 Na roztokach, nademną drzew gwary,
 Tajemnicze zwidzenia i mary.
 Świt gdzieś wstawał. Z snem jeszcze pod rzęsą
 Drzew słuchałem, jak liściem swym trzęsą,

Jak nim szumią i słodko łopocą.
 Obco jeszcze mi było, sieroco,
 Ale lubo.

Leżałem sam jeden,
 Samiuteńki, — dokoła mnie Eden
 Pełen ciszy, tajemnic i czarów,
 Cały w kwiatach i woniach i rosach.
 W dali ścianą posępnych wiszarów
 W wypiętrzonych nad chmury odciosach
 Dumał Kaukaz śniegami szedziwy,
 W kędzierzawych grom warczał mu włosach.
 O ta krasa, te cuda, te dziwy!

Wichrze-bracie! stań, muśnij me czoło,
 Piersz opasaj, obejmij wokoło
 Bracie wichrze —
 Rzeko-siostrze! ponurzaj mię w fali,
 Płynmy razem ku nieznanej dali
 Siostrze rzeko —
 Lasy-bracia, cisz pełne i ptactwa,
 Do waszego przyjmijcie mię bractwa,
 Bracia lasy —
 Łąki-siostry poszumne, pogwarne,
 Ku wam, ku wam ramiona me garnę,
 Siostry łąki —
 Morze-bracie! bezbrodna ty wodo,
 Dusz kołysko, ucieczko, ochłodo,
 Bracie morze —
 Chmuro-siostrze nieścigła, polotna!

Jak śnieg biała, jak orzeł samotna,
 Siostró chmuro —
 I ty, bracie, acz dzielą otchłanie!
 Oko nocy, gwiazd złotych hetmanie
 A mój bracie,
 I ty słońce promienne w błękicie,
 Ty szafarzu, ty zdroju, ty życie —
 Wszyscy, wszyscy wy ze mną bracie mleczna,
 Krasa wieczna i spasa ma wieczna!

Osłowiwszy żywioły tak oto,
 Z darniowegom się porwał posłania,
 Nie ramieniem rozwarłem, nie sięgą,
 Ale jedną palącą tęsknotą.
 Nigdy niebo ku wszem widnokręgom
 Tak się całkiem, tak precz nie rozślania,
 Jakom wtedy ramiona przestrzenne
 Całą mocą mą, całą potęgą
 Rozkrzyżował. Lecz dziwo nad dziwy!
 W odzew mojej tęsknocie żarliwej
 Wszystko wokół, bezruche i senne,
 Obcem było i wrażem mej siódze.
 Nie przyznały się do mnie żywioły:
 Wichr nie stanął w błękitnej rozwiei,
 Ani rzeka trwać chciała w mitrędze,
 Ani żadna z odwiecznych kolei
 Pozłocista się gwiazda nie splezła —
 Zwolna mierzchły wyżyny i doły,
 Noc wstawiała na morzu dalekiem
 Tajemnicza, posępna i mroźna

I, spowiwszy świat w czarne swe giezła,
 Przywaliła mię straszna i groźna —
 I poczułem, że jestem człowiekiem
 I pod jarzmem tej myśli znów padłem.
 Wówczas zewsząd — od gór i od morza,
 Od wywierzyisk spienionej roztoki,
 Z usianego gwiazdami przestworza,
 Z łąk i stepów i z fal i z opoki —
 Ciszej zrazu, niż mgła nad mokradłem,
 Szept się podniósł i drżał nad mą głową,
 Pierś oskrzydlał i pętał mi duszę.
 Tak się stało pierwsze do mnie słowo —
 W przerażeniu-m go słuchał i skrusze:

„Dam ci wszystko, co wabi i nęci,
 „Co rozkoszą nazywa się świecką —
 „Tylko wieczność z swej wytrać pamięci,
 „Tylko pomnij, żeś moje jest dziecko“.

„Nie poskąpieć posilnego ziarna,
 „Co dnia rosą napoję cię świeżą,
 „Jeno wyznaj, że — śniada i czarna —
 „Byłam, jestem i będę macierzą“.

„Dla mnie hymny i dla mnie obiady
 „I kadzidło i ofiara śniedna —
 „Czoło w prochu, nie wdzierstwo w zaświaty
 „I pokora, nie duma mię zjedna“.

„Uwielbiona — nadmiarem zarzucę,
 „Odepchnięta — zemst krwawych dobędę

„I żywiły na ciebie podwrócę
„I macochą, nie matką ci będę“.

„Ścieżkę twoją, co szłaby przez róże,
„Lasem cierni i krzyżów zasieję
„I zawiodę na trupich głów wzgórze
„I dam mękę, odjąwszy nadzieję!“

Jeszcze głos ten nie ucichł nademną,
A już niebo się w ćwierci rozdarło
Krwawym krzyżem. A krzyż ten wstał ze mną,
Z moją twarzą, od trwogi zamarłą,
Z moją głową, cierniami spowitą,
Z memi dłońmi, wbitemi na ćwieki...
Mnież to włócznią bok lewy przeszyto?
Takim kres jest mej drogi dalekiej?
Teraz, ziemio, ty słowo słysz moje:
Tłuste ziarna i rzeźwe masz zdroje
I nie skąpisz mi swego dosytu
I słodkimi są szczawy tve pitne —
Lecz mnie trzeba do życia błękitu,
Manny tylko mnie sycą błękitne!
Próżno hojnej otwierasz mi ręki —
Oto łaknę, jak niegdyś łaknąłem,
Niewymownie, bezbrzeżnie, bezmiernie!
Oto łaknę, i pierś ma wciąż płonie,
Z upagnienia i ognia mam duszę,
Jednej kropli mi trzeba maleńkiej,
Jedną kroplę maleńką mieć muszę,

Choćby padło przez krew iść i męki,
Pójdę po nią na trupich głów wzgórze!

Gdym to mówił — straszliwe widziadło
Na niebiosach zadrzało, pobladło
I zagasło. I dziwny dokoła,
Niezmacony mir nastał w naturze.
Kilka listków na skroń mą upadło
Chłodem miękkiej, przyjaznej pieśzczoty —
I ubyło mi w sercu tęsknoty
I całować począłem te liście
Za ich tkliwość i czułość nademną,
Że na drogę mię długą i ciemną,
Na straszliwe w nieznany świat wyjście
Błogosławia.

Wyszedłszy za wrota,
Wstecz spojrzałem na cudny sad w dali.
Nad Edenem jasność stała złota —
A ja szedłem wciąż dalej i dalej.



A wędrówka ta moja wiodła przez pustynie
 I była przeraźliwie, bezlitośnie długa.
 Miljard miliardów wieków mgnieniem oka dla niej,
 A kres jej — na grobowcu czasu i przestrzeni.

A początek jej przecie taki był pogodny...
 Bo dwu nas było, prócz Lilith urodnej,
 W uwitej z chróstu lepiance rodzica,
 I mnie nad Ablem przypadło starszeństwo
 A z niem opieka nad ślicznym mym bratem.
 Ja miałem ciemne, on jasne miał lica
 I cudne w oczach błękitnych panieństwo,
 Opromienione rumieńca szkarłatem,
 I serce dziwnie słodkie i gołębie,
 Jak te owieczki bieluchne nad rzeką,
 Co mu dawały swą wełnę i mleko.
 On osiadł łąki słoneczne, ja głębie
 Puszcz nieprzejranych, gdzie na każdym kroku
 Musiałem twardem zmagać się ramieniem
 Z kłem lwów i panter, żerujących w mroku,
 Mocować z głazem, borykać z korzeniem
 O każdą grudkę, o każdą piędź ziemi,
 Potrzebnej ziarnu, które dłońmi swemi
 Rzucałem w skiby na wzrost i pożytek.

Jakąż rozkoszą bywało mi codzienn,
 W głębi najgłuchszych ostępów i skrytek
 Pień najroślejszy i najmiąwszy kłodzien
 Ujawszy w poły, obalać na ziemię.
 Nieraz tram taki bronił się i zmagał

Na głębiach.

I, aż pod chmury dumne wznosząc ciemię,
 W oczy mię liściem jak batogiem smagał
 I opłatywał i w gałęzie motał.
 Lecz kiedy krzepciej wpiłem mu się w kłęby,
 Olbrzym, poczuwszy moc mą, wskroś dygotał,
 Chwiał się i padał na buki i dęby,
 Co wpodłe rosły. — Hej, byłaż to burza,
 I chrzęst i łomot i trzask i uciecha!
 Tysiączne wokół wtórowały wzgórza,
 Tysiączne wokół chychotały echa,
 Gdy, miast wawrzynu, cała dębu wiecha
 Wieńcem na pyszne kładła mi się skronie
 A oczy Lilith z pod Abła namiotu
 Niby dwie gwiazdy błyskały złociście...
 Lilith! jak cudnie oko twoje płonie!
 Szczęsny, co takie ma do domu przyjście —
 Mego nikt nigdy nie czekał powrotu.

Bywało — pomnę — z pierwszym tchnieniem wiosny
 Idę karczowisk szukać pod siew nowych.
 Osędziałałe stoją wokół sosny
 Całe w kołtunach i soplach lodowych,
 Lub jako jeden z kryształu obelisk,
 Zsiniały z zimna. Cisza wszędy głucha
 I bezruch śmierci — jeno z oparzelisk
 Błękitna zamróż gęstym kłębem bucha
 I między czarne włóczy się wykroty
 I bór oziewa oziewem martwoty.
 Wówczas straszliwym skroś przeszyty dreszczem
 Pędzę naosłęp, aż na sam skraj puszczy

I w dal pozieram na łąki pastewne.
 Jak tam wesoło! pod słońcem i deszczem
 Cała się ziemia zieleni i bluszczy,
 I trawy gną się powiewne i śpiewne,
 I kwiaty skrzą się złociste i krwiste,
 A tam, tam w łąkach i bluszczach i rosach
 — Oko nie widzi, lecz dusza to czuje —
 Kwiat, zaplątany w jasnych Lilith włosach,
 Kwiat, snem jej ciepły, skroń Abła całuje.

Bywało — pomnę — żar sypie się z nieba,
 Słońce ognistą ma twarz, lecz zamarłą.
 W tysiąc spękanych warg spękana gleba
 Próżno dżdżu woła, — nawet źródlisk gardło
 Żwirem zasute ucichło pod skałą;
 W piersiach mych ogień, a oczy pobiałą
 Mętą zachodzą i ćmią się tumanem —
 Choćby swój pot pić, choćby ssać krew własną!
 Wtem — widzę — oto z bukłakiem skórzanym
 Z chłodu swej jurty na polanę jasną
 Wychodzi Lilith w koszar dla podoju
 Taka powiewna i pogodna taka,
 A potem z słodkim bełkotem bukłaka
 Wraca do Abła... I pocóż im zdroju?
 I któreż z nich się o wodę zapyta,
 Gdy mogą mlekiem poić pierś do syta?

Bywało — pomnę — o złotej jesieni
 Łan żyt i pszenic leży na pomieci,
 Winograd kapie, jabłoń się rumieni,

Owoc nieledwo sam mi w naręcz leci,
 W naręcz i w usta, słodką szczawą słodkie.
 Ot, dałbym komu z pożytków mej pracy,
 Niechby i drugie usta z szczaw tych piły...
 A gdym to myślał, wracali od strzyży
 Abel i Lilith, w uśmiechu oboje.
 Tedy ująłem dwie gałęzie wiotkie
 I na chojaku, jak na złotej tacy,
 Niosłem im owoc nizko, coraz niżej,
 Na sięgę ramion, potem sięgę pędzi,
 Wreszcie pod... stopy. Pominęli choje,
 Usta ich w siebie, nie w owoc się wpiły,
 I tak odeszli — a ja na krawędzi
 Puszcz mychostałem ze sobą i nocą
 I z tą okrutną, dziką jakąś mocą,
 Co mię jak garście chwyciła za włosy
 I bezwolnego wlokła wciąż za niemi.
 A tak pomału, chyłkiem, jak połosy,
 Kiedy się brzuchem płazają po ziemi,
 Śladem ich szedłem aż do ich namiotów,
 Smutny, nie gniewny, lecz zarazem gotów
 Straszną rzecz spełnić.

Nie, nie, nie — to kłamstwo!
 Takiego sambym zaprzął się Kaina!
 Nie podła zazdrość, nie lubieżne samstwo
 Krwawą maczugę wcisnęło mi w ręce
 I, jednym ciosem niosąc śmierć dwum sercom,
 Mnie, życia siewcę, zrobiło mordercą.
 Czarnej mej zbrodni promienna przyczyna!

Więc chociaż dusza jak żdźbło się ugina
 Pod tym krwi deszczem i pod piętnem zbrodnia,
 Chociaż omdlewa w tej strasliwej męce,
 Raz jeszcze przejdę, przebrodzę łez morze,
 Serce rozedrę — i powiem, jak było.

Dzień za dniem schodził, rok za rokiem mijał,
 Wszystko mi wiodło się, wszystko pleniło,
 Wszystko sprzyjało, i jam wszemu sprzyjał.
 Siew, kośba, zbiórki i znów siew i żniwa,
 Noc nocy równa, dzień podobny do dnia,
 Słońce wstawało lub kładło się w morze,
 I gwiazdy mierzchły lub złościły ciemnie,
 Cała natura umarła i żywa
 Żyła — bezemnie!

A ja, choć pierzchła pamięć, jak stworzone
 Słonych wód rzapie i lądy zielone
 I pióra ptaków i łuski jaszczurstwa,
 Gdzieś na dnie mózgu, jak lampę, jak płomień
 Nosilem w sobie złotą iskrę twórstwa
 Tem zapalniejszą, że wieki tłumioną,
 A nienawykłą więzów i poskromień.
 Tak więc nienawiść znów poczułem oną
 Do gnuśnej gliny i złość, że dokoła
 Wciąż się z niczego coś leże i stawia,
 Kształt bierze, rośnie, a mnie nikt nie woła,
 Nikt nie przyzywa zakasać rękawa
 I przy warsztacie stanąć w strugach potu
 I popróbować dawnych sił i lotu. —
 Tak więc ta iskra, jak burza nad stepem,

Nad mym bezsennym chwiejąc się czerepem,
 Czekala ciągle w gniewie nieruchomym,
 Rychło-ż zabłyśnie i padnie zeń gromem.
 Jeszcze nie wiedział, co ten piorun stworzy:
 Życiem obdarzy, czy trupem położy —
 Ale to czułem, że trza mi wszcząć burzę
 Całą naturą mą przeciw naturze.
 I to wiedziałem, że, gdy nią zapalał,
 Coś strasznego i świętego zdziałam,
 Coś, przy czym zblednie Demiurga mózół
 I w ducha nędzną przedzierzgnie materję.

Pomnę — świat cały w złoty blask się ozuł,
 Burzan falował i szumiały prerje.
 Siedziałem, patrząc, jak się w plenne kłoski
 Niwa bogaci i słońcem podpala,
 Gdy wtem z za kępy, strojnej w białe tarnie,
 Wybiegła Lilith, podobna do brzożki —
 Przed nią szła światła i radości fala,
 A za nią płowe, czarnookie sarnię.
 A ile razy nad tęczą motyli
 Lub kwiatów tęczą Lilith się pochyli,
 Sarnię tak muska ją i tak ją pieści,
 Że dusza we mnie na ten widok klęka,
 Nie wiedząc: Lilith słodsza, czy sarenka?
 A wtem wysoko nad chmurami gdzieści
 Zakotłowało. Słucham — coś szeleści,
 Patrę — już pierza kłęb na płowym grzbiecie
 I lśniące szpony w wywleczonem trzewiu,
 W oczach zaś Lilith... O nie! wy nie wiecie,

Ile w jej źrenic obłądnem zarzewiu
 Gwiazd naraz błysło i, ciekąc po rzęsie,
 U stóp mych cudnym rozwiło się kwiatem.
 Otóż więc wtedy... na mą duszę klę się!
 Abel najśłodszym, najtkliwszym był bratem,
 I jako słońce moja k'niemu miłość —
 Wówczas więc iskra, co mi tłała w mózgach,
 Burzy podobna i płatkowi śniegu,
 Kiedy, na stromą upadłszy pochyłość,
 Lawinę ruszy i w ośleplym biegu
 Pędzi, a za nim trzony gór w odruzgach —
 Iskra ta, mówię, w myśli mej otchłiskach
 Stała nagle w piorunach i błyskach
 I, niezgaszone niecąc we mnie żądze,
 Kazała zerwać natury wrzeczadze
 I wyjść poza nią w świat nieznanych krain,
 By móc zawołać: jam to stworzył — Kain,
 Wróg gnuśnej gliny i wieczny krzesiciel
 Ducha sennego pod łomem i mściciel!
 Zatem gdy Abel krzątał się przy wiatrze
 U boku Lilith, Abel jasnowłosa,
 Ach, jaki piękny! nieprzeczuwający,
 Że lada chwila śmierć na niego natrze. —
 Jednym straszliwym ciosem mej maczugi
 Ciemie-m mu strzaskał!... Zwalił się jak długi
 Pod stopy Lilith, a strumień gorący
 Bluznął z czerepów na trawy i wrzosa,
 Na moje dłonie, na moje powieki,
 Na moją duszę!
 I odtąd spływa tak ze mnie — i wieki

W trwodze i mękach
 Brodzić nim muszę
 I żłopać z posok tego strumienia
 Z wszystkowidzącą lampą SUMIENIA
 W plugawych rękach.

Kto tam tak skomle? kto tam skowyta
 Nad białych owiec skrwawionem runem
 I — gdzie jest Abel? gdzie brat twój? — pyta.
 Zalim pies jego? zalim mu stróż?
 Gdzie on? — ja nie wiem, nie wiem, nie powiem.
 Znam tylko nóż!
 Jestem biegunem,
 Biegnę pustkowie —
 Przez dżdże skorpjonów, przez chłosty różg
 Niepowstrzymany żenie mię wiew.
 Gdzie stąpię — krew, gdzie spojrzę — krew!
 Jakże zmęczony biedny mój mózg...

Kto tam tak skomle? kto tam tak skuczy?
 Za skroń, za piersi dłońmi się chwyta,
 Krwawym łachmanem po pustkach włóczy,
 Przed nim i za nim klątwa niezbyta,
 Przed nim i za nim popłoch i lęk
 I ból i jęk!
 Kto on — ja nie wiem, nie wiem, nie powiem.
 Jestem biegunem,
 Biegnę pustkowie —
 Przez dżdże skorpjonów, przez chłosty różg
 Niepowstrzymany żenie mię wiew.

Gdzie stąpię — krew, gdzie spojrzę — krew!
 Jakże zmęczony biedny mój mózg...

Kto tam tak skomle? kto tam tak wyje
 Jak oszalały, bezdomny pies?
 Burza nim miota, wichur nim wije
 Przez krwi ocean, przez morze łez.
 Gdzie przystań? kres?
 Ja nie wiem, nie wiem, nie wiem, nie powiem.
 Jestem biegunem,
 Biegnę pustkowiem,
 Krew ze mnie ścieka —
 Biegnę bez jutra, ulgi, wytchnienia,
 Byle nie zgasła lampa sumienia
 W piersiach człowieka.

Ach, niczem męki, niczem mi zbrodnie
 I ta tułaczka przez krew i łzy,
 Skoro zażęgłem sumień pochodnię
 Po wszystkie dni.
 Z ilów świat zlepić — zdołałeś Ty tam,
 Ty, w Demiurga biegły rzemiośle,
 Lecz ja tak gnuśną glinę rozzgrzytam,
 Tak ją ucisnę, tak uciemięzę,
 Tak ją utrafię krwawo a wzniośle,
 Że wreszcie ducha z siebie wyrzuję,
 Że duch, o mojem w dal płynąć wiośle,
 Z osłon czczej formy, dzieła Twych rąk,
 Wyjdzie na jaśnie, zatoczy krąg
 I sam swe wieczne uwielbi piękno —

A przed tem pięknem żywioły klękną
I nie Ty, Ty tam, lecz ja zwycięzę!

Kiedy? — ja nie wiem, nie wiem, nie powiem.
Jestem biegunem,
Biegnę pustkowień,
Krew ze mnie ścieka,
Pęka mi mózg, —
Niebo mię chłoszcze dżdżem i piorunem,
Tysiąc psów we mnie wyje i szczeka,
Sumienie pali,
Kres się odwleka —
Jestem biegunem,
Droga daleka...
Przez trupi bluzg
Dalej i dalej!



Dalej i dalej krwawym łachmanem
W męce i trwodze przez krwawy świat!
Siew żyzny w glebę tak żyzną padł,
Że każde siemię wybuja łanem,

Ze się w tysiackroć wszędy rozplodni
Gorczyczne ziarno grzechu i zbrodni.

Dalej więc, dalej do cichych chat,
Drzemiących w cieniu wisien i grusz —
Na żyzną glebę siew żyzny padł
I bujnym łanem zakwitnął już.
I poszły kręgiem straszne pożary,
I purpurowe mże i opary,
I lęk, co włosy jak wichr podwaza
Na łbie ofiary i łbie zbrodniarza,
I dzień nie minął, żeby gdzieś w chacie
Brat nie wyszczerbił noża na bracie,
Albo na ojcu, albo na matce...

Nielepiej było i w naszej chatce,
Niebielszą była i nasza strzecha,
Gdzie Ada z Sellą, żony Lamecha,
Rodzica mego, jak psy przy kości
Pomiędzy sobą lub z gachy swemi
Gryzły się ciągle z pożądliwości.

A była nas już liczna družyna.
Prócz trojga w stadle, siostry Noemi
I najmłodszego Tubalkaina,
Jam był i Jabal z średniego miotu
A wspólną macią była nam Ada.
Więc Tubalkain wziął młot kowala,
Jabal zaś owiec płochliwych stada,
Ze dla mnie, com miał imię Jubala,
Nie stało kruszcu, ni pól, ni skotu,

I nic nie miałem i wszystko miałem,
 Cobądź istnieje na świecie całym:
 Wszystkie zgubione przez orły pióra
 I wszystkie lilje, skąpane w rosach,
 I moją była gwiazda i chmura
 I dal i echo, mknące w pogłosach.

Małej wartości, mniejszej korzyści
 Zdał mi się zrazu dział mój i wiano,
 Lecz—choć nie znałem w czym mi się ziści
 Takie dziedzictwo — wziąłem, co dano.
 I kiedy jedni skot w polu paśli
 Lub u domowych doili jaśli,
 A inni zasię lepili garnce,
 By wymłócone suć do nich jarce —
 Jam w las uciekał albo na łąki
 Słuchać, jak ranne dzwonią skowronki,
 Lub u spienionych siadał siklawic,
 Ciekawy, co też wyjdzie z ich mgławic
 I czy się kiedy wreszcie wyczerpie
 Szloch, z niestrudzonych płynący łzawic.
 A zaś po nocach tom nieraz śledził,
 Czemu na ostrym miesiącu sierpce
 Przecięty obłok tak strasznie broczy —
 I kto i poco tę krew wycedził,
 I komu w kruż ją wleją tajemnie?
 A na myśl taką mrużyłem oczy
 I świat mi smętniał za mną i we mnie.

Raz, kiedym z takiej powracał czaty,
 Pełen słodczy, wyssanej z gwiazd,

I przeczuć pełen i pełen trwóg —
 Patrzę: u wrótni do naszej chaty
 Z odciętej głowy ktoś zrobił próg,
 A krokiem dalej koło bez piast,
 A zaś na piastach, miasto obręczy,
 Tułów drgający i żywy jeszcze
 — Taki dorodny tułów młodzieńczy
 I w takie krwawe ponurzan deszcze! —
 A zaś na przyźbie, gdzie znój dnia siada
 Po znojach nocy, Sella i Ada
 Za włos z występnych zwleczone łóż,
 A na majdanku mąż ich i pan,
 Rodzic mój, Lamech, ściskając nóż,
 Dziki dokoła zawodził tan.

„Słuchajcie głosu mego, żony Lamechowe,
 „Posłuchajcie słów moich. Zarzeżałem gacha —
 „Nuże, teraz wy nim się dzielcie przez połowę!
 „Któraż z was trzewnie weźmie a która zaś głowę?
 Ha — ha — ha!“

„Ubiłem, trupam zhańbił, rozdarłem na ćwierci
 „I urągam łzom waszym — bo któż mię zastracha?
 „Jeśli siedmkroć mścić będę Kainowej śmierci,
 „Tedyć mej siedmsiedmdziesiąt by dla jednej sierci!
 Ha — ha — ha!“

I znów się porwał w straszliwy tan
 Rodzic mój, Ady i Selli pan,
 I krew dymiącą oczyma chleptał

I wył i śmiał się z wyrwanych trzew,
 Deptał, podrzucał i znów je deptał,
 Aż mnie na czoło bluznęła krew,
 Aż i mnie wiru opętał szal,
 Aż i ja, w miejscu nie mogąc ustać,
 Uciekłem w pola, z pól w żleby skał,
 W jakąś zamarłą, kamienną pustać,
 W jakieś zacisza, od śmierci cichsze,
 W jakieś przesmutne złomiska gór,
 By się omanić, upić na wicherze
 Lub do węzowych skryć kędy nór.

Jak długom pustką tak szedł? — nie pomnę.
 Pamiętam jeno słońce ogromne,
 Żłote, czerwone, sine, upiorne,
 Przez lasów sita, przez mgły wieczorne
 Siejące trwogę i dziki strach
 I z rzek pamięci, jak rybak z węci,
 Dobywające, co raz w nią wpadło,
 Choćby zsiniały to miał być zwłok.
 Brodziłem w dumach, wspomnieniach, snach,
 Wsłuchany w ciszę, wpatrzony w mrok.
 Wtem coś mignęło, — jakieś widziadło:
 Dwa jakieś cienie, jasny i śniady,
 A przy nich trzeci złocisto-włosy.
 Otwarła usta krwi chciwa ziem,
 Ktoś wzniosł maczugę, ktoś runął blady,
 Ktoś trzeci załkał aż w niebogłosy —
 Gdziem ja to widział? skąd ja to wiem?
 Czemu to miejsce takie mi znane,

I czemu, patrząc na żdźbła zbluzgane,
 Taki dławiający uczuwać żal?
 O, jak mię boli ten czerep w darni,
 A razem nęci ten na nim włos!
 Tyle łez żrących, tyle męczarni
 Śpi w nich, by w dźwięczny wcielić się głos
 I tyle znowu w zbrodniczym łonie
 Najczystszych myśli i uczuć płonie,
 Że zwolna cichną sumień lamentsy,
 I dawna żądza przeszywa dal,
 Żądza tworzenia!

Tą chucią zjęty
 Z czerepów onych, ze złotych grzyw,
 Co ze krwi ledwo zdążyły ociec,
 Z onej relikwji strasznej i świętej,
 Ja, wszystkich wieszczów na świecie ociec,
 Stworzyłem pierwszy muzycki dziw.

Zrazu mi dźwięczał cichy, misterny
 I miękki, jako muśnięcie fal,
 I łkał, jak nocą łkają cysterny,
 I wziął odemnie cały mój żal.
 A zasię potem trącone żwawiej
 Wydały struny silniejszy wtór:
 Słyszać w nim było klangor żorawi,
 Lecących szparko za śladem chmur
 I odnoszących gdzieś w zmierzchy złote
 Cały mój smutek, całą tęsknotę.
 Ledwo ten chorał przebrzmiał w rozwiei,

Ze strun popłynął w dal uroczyscie
 Szum rozhojdanej wichrami kniei.
 Bezdenną głębią mojej zadumy
 Świszczą cetyny, łopocą liście,
 Kołują gąszczem szepty i szumy,
 Idą, wracają, znów lecą w dal —
 Na bujnym stepie kędyś przysiadły,
 Zaś się zerwały, na morza spadły,
 Że aż zawrzało w głębinach fal.
 Żałosny rozbrzmiał krzyk albatrosa,
 Ryknęły wichry, burza dżdżowłosa
 Wyszła zalewy deptać i sieć
 I cały przestwór zatrwożyć nocą
 I na strwożonym zwycięsko lec.

Tak pocom jeno w głąb siebie sięgał,
 Bylem w to całą wmyślił się mocą,
 Z muzyckich naczyń, dzieła mych rąk,
 Płynęło odtąd i płynie wciąż.
 Ze mnie jest bowiem, z duszy mej cięż
 To, co bezemnie nie zazna lęgu —
 To, co bez mojej władnej przyczyny
 Niezdolne dośpiać do tworów kręgu,
 To, co z ospałej dobyte gliny
 Zrywa ze siebie ziemskich więz spojeń
 I niesie duchom ciszę ukojeń,
 Śnioną od wieków...

O sny, o zjawy!

Przed okiem mojem tysiące lat!

Widzę... kręgami spiętrzone ławy,
 Ołtarz z krwią kozła, co w wieńcach padł,
 Tłumy choreutów, śmiechopłacz mask
 I dytyrambów dźwięczysty spiż,
 A nad tem wszystkim Olimpu wzwyż
 Heliosa złoty rydwanny blask.

Pręży słuch ziemia, prężą niebiosy—
 Ze sceny mówi duch Ajschylosa.
 Odludna pustka.... W spiecu słonecznej
 Tytan do nagich przykowan skał
 Za to, że bogom skradł ogień wieczny
 I zniósł na ziemię i ludziom dał.
 Napróżno białych chór Okeanid
 Z mórz mu nawiewa chłody rzeźwiące —
 Nie zna litości spękany granit
 Ni noc wyziębła, ni żarkie słońce.
 On zaś, choć sęp mu szponem rozwłóczy
 Serdeczne tętna — nie gnie w proch czoła,
 Jeno pierś gromnej nadstawia tuczy
 I ludzkie rzesze przykładem uczy,
 Czego hart woli dokonać zdoła
 I jak duch bezwład gliny zwycięża.
 I oto wokół stanął mąż w męża,
 A pierś każdego — jak pierś Fidiasa,
 A każdy losem jak heros włada.
 Nie lud to — jeno wieczysta krasa,
 Nie cud to — jeno wolna Hellada,

Natchnienie natchnień!

— — — — —
 — — — — —

O sny, o zjawy!

Przed okiem mojem tysiące lat,
 Tysiące ludów ciągnie przedemną!
 Widzę... daleką krainę Sławy
 Niegdyś swobodną — potem jarzemną,
 Niegdyś kraj obrów — potem Helotów.
 Nad nią jednego tylko olbrzyma
 Widzę, co lud swój, igraszkę dziejów,
 Pieśnią przetworzyć chce w Prometejów.
 Syn uroczyska i Wajdelotów,
 Płaczkę ojczyzny swojej i duszę,
 Gęśl wajdelocką w dłoniach swych trzyma.
 W gromach i błyskach idzie natchniony,
 Po sprawiedliwość zszedł do Erebu,
 Wyzwanie rzucił zimnemu niebu:
 „Drzyj! zwę się miljon—bo za miliony
 „Kocham i cierpię katusze —
 „I większe stokroć, niż ty, stworzę dziwo:
 „Zanucę pieśń szczęśliwą!

Wstrząsnęły dreszcze ludem Helotów
 I ogień błysnął z ich lic i czół.
 Rzekłbyś: za własć swą każdy paść gotów
 I rwać ten łańcuch, co mu dłoń skuł.
 Rzekłbyś: kto takich pieśniarzy miał,
 Takie z ich lutni natchnienie brał,

Musi się gniewem świętym zrumienić,
 Otrząsnąć z siebie błoto i kał,
 W hufiec się istot skrzydlatych zmienić
 I prometejski tu ziścić cud:
 Niebieskim ogniem z ospałych glin
 Wyplawić ducha!...

O błędzie krwawy,
 Ziemio, wężowych przepełna ślin!
 Dotąd kraj Sławy domem niesławy —
 Toż jest, Jubalu, wielki twój czyn?
 Muzyckich naczyń to czarnoksiężstwo,
 Wyzwolin twoich to śniony kres?
 Przekleństwo tobie, pieśni przekleństwo —
 Dalej przez padół krwi, błota, łez!



Tak więc z pokoleń w nowe pokolenia
 Szedłem z mą gwiazdą straszliwą nad czołem,
 Co z twórczej żądy czyny wypromienia,
 A serce spala na żuzel i popiół.

Mijały wieki. Szedłem jakby śnięty,
 Aż oto w ludnej stolicy przecknąłem —
 Na mojej tjarze błyszczały djamenty,
 A płaszcz królewski ramiona me opiął.

Ziemie w mych szponach gięły się jak woski!
 Miecz mój obrotny ognistemi głoski
 Na kartach czasu pisał stu państw dzieje.
 Jam im odmykał żywota wierzeje,
 Jam im grób kopał, — w płasach czczon i odach
 Byłem na ziemi, czem w niebie Merodach.
 I nikt z patrzących w mą twarz króla-maga
 Nie dojrzał, co się w mej duszy ukrywa,
 I nikt z bijących pokłony przedemną
 Nie wymiarkował, co mózgi me smaga —
 Kędy, jak z amfor pękniętych oliwa,
 Krew ma serdeczna tajemnie ucieka,
 I jaki straszny głód w mej piersi szczeka,
 Ilekoć z nocą sam zostanę ciemną...
 A skąd to poszło i jak poszło? — powiem.

Było to — pomnę — po znoej wyprawie
 Na zbuntowany przeciwko mnie Elam.
 Długo się bronił, aż uległ pod mrowiem.
 Dzień jeden, drugi — w łzach jeńców się pławię,
 Dzień jeden, drugi — mnogi łup rozdzielam,
 Wreszcie, gdy zbrakło już košby dla szabel
 I ciał, by orać po nich zemsty radłem,
 Krwawym upiorem powróciłem w Babel
 I do czasz złotych i do mis zasiadłem.

Po uczcie szedłem dla pieszczot i gruchań
 W zacisny harem pomiędzy przespanki,
 A droga wiodła przez salę posłuchań,
 Gdzie zwisające od stropu kaganki
 Świeciły mgławo, a wokół pod ścianą
 Fryz z epopeją dni mych wyrzezano
 Na alabastrach łyskliwych i tłustych.
 Nie, taką chwałą przedemną ni po mnie
 Nikt się nie okrył ani też okryje!
 Tam — gród za grodem dźwiga się z wydm pustych,
 By o mej mocy zaświadczyć potomnie,
 Tu — legjon łopat step jałowy ryje,
 By nieużytki zmienić w ogród kwietny,
 Ówdzie — ja, koń mój i miecz mój — samotrzeć,
 Kędy najgęstsze kłębowisko wojów
 I gdzie śmierć sama nie śmiałaby dotrzeć,
 Wpadam, jak wichur błyskawicą świetny,
 I jak grom gromię i jak kosa koszę,
 By potem długo wśród nocnych postojów
 Z pojmanych branek słodkie ssać rozkosze
 I, nasyciwszy się niemi cieleśnie,
 We sny je rzucać, z których nikt nie wskrześnie.

Tak rzędem wszystkie tryumfy i chwały,
 Spisane dłutem, oczy me czytały,
 Gdy wtem jęk dziwny przeleciał nademną
 I gdzieś w czerepach zazgrzytał mi śmiechem.
 Krzyknąłem gniewny: czemu tu tak ciemno?
 Mury mi: „ciemno“ odwodziły echem
 I znów zamilkły grobowo i głucho.

A wtedy skądsis, z podłogi czy z pował,
 Cień jakiś groźny wypociły ściany
 — Nietyle wzrok go mój wyczuł, co ucho
 Jak łuk napięte, — niby dech wietrzany
 Szedł krok w krok za mną, coś szeptał, coś knował,
 A potem nagle pogasił łuczywa,
 A potem skrzydłem ćmy wylęglej nocą
 Począł nacierać na mnie ze wszej strony
 I szeptem pytać: po co? po co? po co?
 I ja, com nigdy nie stchórzył zażywa,
 Co byłem jako Merodach wcielony,
 Jako Izdubar nieprześcignion w czynie,
 Jako sam Ea wszechmocny wszechmocą,
 Zadrzałem w onej ponocnej godzinie
 I sam począłem w głos wyć: po co? po co?!

Na krzyk ten zbiegli się zewsząd służalce,
 Straż pałacowa i nieme eunuchy.
 A widząc, głupcy, że kąsam swe palce
 I że mi po nich płyną krople juchy,
 Dobyli mieczów. — Nuże, nuże, nuże!
 Tak-że to pana waszego bronicie?
 Dalej na łowy, na gon! wróg nielada
 Wkradł się tu chyłkiem, dybiąc na me życie.
 Pytacie, kto on? Ćma to, ćma straszliwa!
 Skrzydła ma większe, niż największe burze,
 Niebiosą niemi jak dłonią nakrywa,
 Jak Zu potężny składa i rozkłada,
 A one dziko, okropnie łopocą
 Nad wszelkiem życiem, wszelkim czynem: „po co?“

Tę ǳmę mi złówcie i zgnieǳcie — słyszycie!
 Ha, ha, ha — precz stąd!

Miast w haremu ściany,
 Na dach pałacu wyszedłem samotny.
 Nademną wisiał strop gwiazdą zasiany
 I grał odwieczny hymn swój kołowrotny.
 I oto znowu wpatrzonemu w ciemnie
 I w te myrjady, co kędyś migocą,
 Szept jakiś w ucho wśliznął się tajemnie
 I podpowiadał: dlaczego i po co?
 Dlaczego wy tam, płonące rżęsiście,
 Co lęk — nie wiecie, co tęskność — nie znacie,
 Ani was dziwi wasze na świat przyjście,
 Ani ślepniecie we własnej poświacie,
 Ani wam śpieszno, ani wam mitrężno,
 Ani zapóźno, ani też zawcześniej —
 Jasne płyniecie w swą drogę okrężną
 Cicho, niemylnie, wzniośle i niebieśnie.
 A my?... dlaczego my z trwogą pytamy,
 Skądęśmy wyszli i w jakie mkniemy bramy?
 A my docześni, jednodniowe jętki,
 Dlaczego my się wydzieramy w wieczność?
 Dlaczego ciało gnuśne w nas, duch prędkiej?
 Po co w nas wklęta dwu żywiołów sprzeczność?
 Po co myśl nasza? po co czynu dzielność?
 Śmierć naszym działem, czyli nieśmiertelność?
 Minione — było-ż? co jest — jest-że iście?
 Czas trwa, czy nie trwa w swem nietrwałem trwaniu?
 O wy, płonące tak cudnie, złociście,

Zaklinam: dajcie odpowiedź pytaniu!
 Jeśli ją dacie — płońcie na przezroczu
 Natchnieniem myśli i rozkoszą oczu,
 Jeśli nie dacie — próżno zwać obrońce.
 Pójdę, pochwycę, podważę i strącę!..

Milczały dumne, jakby drwiąc z pogrózek.

Wówczas, jak czyni wódz przed szturmem walnym,
 Że bada skrzętnie długość dróg i drózek
 I szczerb rozwartość i wielkość dystansu —
 Dwam palce wytknął ku dalom astralnym,
 Dwa palce moje, praojce sekstansu,
 I począł niemi przemierzać przestwory
 I wszystkie gwiazdy po imieniu wołać
 I z wszystkich treści wyciągać liczebne,
 By móc je potem każdej znaleźć pory,
 Czy gdy zaziemne są, czy gdy naniebne,
 Czyli w słoneczną, czy miesięczną połąć
 Idą się ukryć, a zasię w Zodzaku
 Na złym, czy dobrym wiszą dla mnie znaku.
 Zliczyłem gwiazdy, pomierzyłem czasy,
 Zważyłem wszystko, co zważyć się dało,
 Sił tajnych przepływ chwyciłem w kompasy,
 A drogim planet wpisał w astrolabia.
 Cokolwiek nęci myśl wolną i śmiałą,
 Co dociekania trudem ją przywabia,
 Co przez dociekań tych trudy i kurcze
 Wyzwala śpiące w niej potęgi twórcze,
 A one nakształt jasnego korabia

Płyną przez życia pomrokę i ciemnie —
Wszystko to wzięło swój początek ze mnie!

Odtąd co nocy w szczycie zikkuratów
Trwałem wsłuchany w wieczną gęźbę światów.
Odtąd co rana magi niższorzędne
Biegli mnie pytać: czym wykrył gwiazd drogę
I glob astralny przebił myśli procą?
A widząc, że mam oczy jeszcze błędne
I że popłochu mego skryć nie mogę
Ni kazać ustom: nie szeptajcie „po co” —
Szli w synod radzić na miarę swej myśli
I uradzili, że z wiosennej wody
Dość się namułu i gliny wykiśli,
Aby, sprosiwszy wiciami narody
I naspedzawszy w Babel tłum otroków,
Taką wieżycę z cegły wznieść olbrzymią,
Ze czołem gęstwą przebije obłoków
I tam dowiedzie, gdzie dymy gwiazd dymią.

Z chęci do czynu — i nie wyszło roku —
Zbiegły się zewsząd robotnika krocie.
A choć śmiech smętny słałem ich robocie,
Budowla ona miłą była oku.
Ba, z biegiem czasu, smukła i wyniosła
I już w przestwory lecąca zaziemnie
Ścisłe się, dziwnie, niepojęcie zrosła
Z tem, co krzyczało i rwało się we mnie,
Z tem, co nagliło: chyżej, wyżej, dalej!
Jeszcze mi jedną warstwę cegieł kładźcie —

O jedną warstwę będziem wyżej stali.
 Jeszcze mi jedną blankę wyprowadźcie —
 Piędź widnokregu zewsząd nam przybędzie.
 Wyżej wciąż, wyżej! — — — Co, już wam zawrotno?
 Już stopom waszym za ostre krawędzie?
 Puśćcie, nawykłem iść drogą samotną.
 Czemu tak na mnie patrzycie złowieszczo?
 Żem na ostatni kraniec się wysunął,
 Że krok mój chwiejny i węgły gdzieś trzeszczą?...

Byłem gwiazd blizki... Wtem gmach drgnął i runął!



Runął gmach pyszny, lecz ja, praodwieczny,
 Któremu obcą jest muzyka godzin,
 Z szczebla na szczebel, gdzieś po drodze mlecznej
 Szedłem w obawie dalszych wciąż narodzin —
 Bowiem wykwitłe z krwawych łez sumienia,
 Com je zacznem pchnął na życia szale,
 Ni pieśń ni wiedza nie przyniosły wcale
 Żądom mym twórczym ciszy ukojenia —
 Bowiem daremnie wszystka lądów zieleń

Zsączyła mi się w kroplę pitnej somy,
 I ja, com dobył z chaosu ogromy
 I przetrwał światów wirujących omęt,
 Począłem wreszcie marzyć kres mych wcieleń
 I śnić, by drogą samo-się-spalenia
 Dojść do Jedności, co się już nie zmienia...
 A z drogi onej jeden pomnę moment.

W następstwie Karmy przedeszłych mych bytów
 — Możem był małżem, co gnije w kałuży,
 A może orłem, co lata u szczytów
 I pierś nadstawia szalejącej burzy,
 A może nędznym sudrą, co na roli
 Całe się życie dla drugich mozoli,
 I ciemne lica odwraca z pośpiechem,
 Aby przechodnia nie splamić oddechem —
 W następstwie Karmy mej poprzedniej zatem
 Przyjąłem wówczas kształt księcia Gauthamy.
 Co widząc, róże spłonęły szkarłatem
 I przytuliły się mocniej do siebie,
 Złote jaszczurki wypełzły z jamy,
 By się im mogły przypatrzeć motyle —
 Jaskółki wieńcem zamarły na niebie,
 Ażeby muszki nie ukrzywdzić w locie,
 O ziarnku prosa zapomniały gile,
 Sowa o myszce, o sarnie pantera,
 Wół o swem jarzmie, ludzki znój o pocie —
 Nawet niemowlę, co ssać się napiera,
 Odjęło usta od piersi matczynej,
 Byle nie stracić nic z onej godziny,

Gdy się spełniło, co się spełnić miało:
 Żem syna Mai wziął na siebie ciało.

Dziedzicem tronu cnego Suddhodany
 Rosłem więc, w kszatriów ćwicząc się rzemieśle:
 Miałem swój pałac, a w pałacu ściany,
 Których siekierą nie dotknęli cieśle,
 Jeno złotnicy młotami wykuli
 Ze srebra, bronzu i lapis lazuli.
 W oknach kryształą dobyte z gór łona
 Nie dzień wpuszczały, jeno barwne tęczę:
 W chłodnikach grała muzyka stłumiona
 Jakieś melodje senne i pajęcze,
 Przy których wtórze, niby tuman z wody,
 To znów jak wichrem nieścigłe gazele,
 Płasały dziewy tak cudnej urody,
 Że się zdawały być w człowieczem ciele
 Dewasów ludem, strąconym z obłoków.
 W okrąg pałacu ciągnęły się sady,
 Pełne różanych i liljowych stoków —
 W zacisznych grotach szumiały kaskady
 Wód, przesączonych umyślnie przez kwiaty,
 Aby, nabrawszy ich upojnej woni,
 Pylily potem chłodne aromaty
 Na przytuloną chciwie skroń do skroni.
 Bowiem ten pałac i ogród i groty,
 Wszystkie te cuda i wszystkie te czary,
 A w nich rozkoszą zaprawne pieszczoty
 Ślubem złączonej ze mną Yasodhara —
 Cały ten przepych ognistej fantazji,

W którym się zbiegły wszystkie skarby Azji,
 Król zdziałać kazał, ażeby mu syna
 W świat nie wykradła potęga tęsknoty.

Daremnie — przyszła wyroczna godzina...

Siodłaj Kantakę, mój ty Czanno wierny!
 Pragnę przejażdżki po Kapilawastu.
 Sprzykrzyły mi się pachnące cysterny,
 Przestrony pałac ciasnym mi i dusznym,
 Myśl się wydiera za życiem nieznanem.
 Wszakżem już mężem, — czas przyjrzeć się miastu,
 Nad którem kiedyś będę władnym panem.

Rzekłem, a głos mój poszeptem zausznym
 Doszedł do króla. Więc laufry i warty
 Skrycie w najdalsze rozesłał zaułki
 Z tem, by się nie śmiał na oczy Siddarthy
 Ukazać wrzodem okryty ni chromy
 Ślepiec, ni starzec przygarbiony laty.
 A tak jechałem przez zielne wyściółki,
 Jedwabną wstęgą powiewały domy,
 Radosną pieśnią rozbrzmiewały chaty,
 Próg co kraśniejsze obsiadły dziewoje
 I co kraśniejsza u matek dziecina —
 Byle się serce nie zbudziło moje,
 Dusze pod stopy mi słano i kwiaty.

Daremnie, przyszła wyroczna godzina...

— Czanno mój wierny, pędź z kopyta za mną!
 Kapilawastu cudne jest zaiste,

Lecz ja chcę poznać tę ziemię zabramną,
 Gdzie nad rozłogiem słońce wisi krwiste
 I praży grzbiety, schylone nad sochą.
 Chcę widzieć ludu prostego żeremia.
 Najczulszą z matek jest dla mnie ta ziemia,
 Lecz innym może okrutną macochą.
 Najtkliwszą żywot ten dla mnie piosenką,
 Lecz innym może przekleństwem i męką — —
 Czemuż to, Czanno, tak ściągasz wędzidła,
 Że koń jak rzeka u jazu się wspina?
 Już on w domowe nie wróci poidła —
 Czanno mój, przyszła wyroczna godzina!
 Dobrzem ja widział i dobrze miarkował,
 Jakes rozmowę chciał uśpić mą czujność
 Wskazywał jeno na krasę i bujność,
 Krył zaś starannie bezmiar ludzkiej nędzy.
 Powiedz, dlaczegoś jak wichler cwałował
 I niespokojny naglił: prędeż, prędeż!
 Gdyśmy spaloną jechali uboczą?
 Myślałeś pewno, że ujdzie mym oczom
 To, co tam jęcząc leżało napował,
 Ów krwawy łachman, niegdyś człkiem zwany,
 Z którego tylko golenie i żebra
 Sterczały w niebo, jak bełt z sinej rany.
 I tak jest — serce mi to mówi — wszędzie,
 Wszędzie cierpienie i ból i ohyda!
 Jednego zeżre trąd, drugiego febra,
 Owego zasię ukąsi grzechotnik,
 Żona zdrowego martwe dziecię wyda,

Tuzin cherłaków napłodzi suchotnik,
Gieñjalny umysł skończy dni w obłądnie —

„Siddartha, zawsze tak było i będzie“.

— Tak jest, lecz tak być nie powinno, Czanno!
Tak jest, lecz trzeba, żeby tak nie było!
Powrotnych zrodzin falę nieustanną
Trzeba ogroblić raz już ostatecznie!
Rodzić się, męczyć, mrzeć, by za mogiłą
Nowego bytu brać na się kajdany
I zasię istnieć i znów konać w męce
I nieznać kresu tej muśnej przemiany,
A tylko cierpieć strasznie, ciągle, wiecznie!..
Czanno, przez litość! ujmij skroń mą w ręce,
Bo mi rozpęknie od lutej żałości.
Czanno, przez litość! zatłum mi me oczy,
Bo jeśli łza się choć jedna z nich stoczy
I spłynie krwawa na piersi ludzkości,
Od jej pożaru spopieleją ludy
I zadrży w sobie sprawca wszego bytu
I świat ten strąci w nicestwa otchłanie.

„Ty drżysz, Siddartha. Co tobie, o panie?“

— Nic... Czas uwolnić świat od jarzma złądy.
Wracaj w dom, Czanno! Nie potrzebnyś mi tu,
Ani Kantaka, ni książęce szaty.
Wracaj w dom, Czanno, a w drodze głoś wszędzie,
Żeś pana swego utracił dla Buddy,

Co przez ofiarę trzy podbije światy
 I zbawcze ludom przyniesie orendzie.
 A kto je przyjmie cierpieć już nie będzie,
 Przez czyn mój cierpieć nie będzie, — tak powiedz,
 Mą Yasodharę pozdrów mi i syna.
 Odtąd mi domem puszcza i manowiec —
 Bywaj zdrów, Czanno, wybiła godzina.

Chybnąłem w gąszcze. Jeszcze mi przez krzaki
 Razporaz mignął zasmucony Czanna,
 Razporaz rzenie dobiegło Kantaki,
 Razporaz serce zabiło mi głośniejsze,
 Aż zcichło wszystko we mnie i poza mną.

Sam się ostałem, a ustron, gdzieśm zstąpił,
 Był to zakątek odludny i pusty,
 Oparty w głębi o turnię stujamną.
 Środkiem uboczy lichej strumyk siompił,
 Dalej jak świetlik, zaplątany w chrósty,
 Tu i tam smukła świeciła dziewanna,
 Tu i tam kępka krętej karłosośni
 Miedzianym węzem pełzała wśród trawy,
 Z dalekiej dżungli wiew dolatał świeży,
 A dalej jeszcze w chmur omroczy krwawej
 Dumne swe czoło Gaurisankhar maczał,
 A wyżej jeszcze gwiazdami usiany
 Święty płaszcz Brahmy w cichą noc majaczał.

Tam to, ofiarnej pokucie oddany,
 Samotnik bosi w żebraczej odzieży,
 Trwałem lat wiele na modłach i poście,

A ból serdeczny nad człowieczą dolą
 Taki postaci mej bezruch nadawał
 I tak pochłaniał myśl mą całkowicie,
 Że nieraz przyszło stadko łasic w goście
 I ani czułem, jak po mnie swywoła,
 Że nieraz, mając mnie za głazu kawał,
 Przychodził tygrys, porykując stawał
 I chociaż mógłby najeść się obficie,
 Głodem trapiiony leżał do snu przy mnie.

Nie wiem, jak długom pędził takie życie
 Na dżdżu i suszy, spiekocie i zimnie
 I jakim ogniem duch się we mnie palił,
 Zanim okrutną moc Kamy obalił,
 I jakie jady musiał pić jaszczurcze,
 Gdy zapadł myślą w swe przedwieczne wczora...
 O wczora moje! o wy, tchy me twórcze,
 Lat odemknięta na zawsze zawora,
 Łom, z snów bezwładu wyrwany na zawsze,
 I te śród łomu pulsujące dreszcze!
 Kędyż jesteście? w coście to przerosły?
 Tworzyłem gwiazdy, a stały się... ziemią.
 Ducham przez poty dobywał najkrwawsze,
 A oto same bez-duchy się plemią...
 Czyliżbym więcej już nie władał wiosły?
 Miałżeby za mną być ktoś inny jeszcze,
 Ktoś nad mnie większy? zestąpiwszy w ciało,
 Aby twórczości czarę wypić całą
 I przejść przez bytu miljonowe kręgi,

Miałebym iście zbyć mej wszechpotęgi
 I teraz nie móc stworzonego życia
 Wyrwać ze szponów cierpienia i męki?
 Gdziekolwiek pójdę, rozpaczne brzmia wycia,
 Głuche przekleństwa i szaleńcze jęki...
 O mocy moja! zbudź się na czyn nowy,
 O ręce moje! przystąpcie do dzieła,
 Zdejmcie ukute przez siebie okowy,
 Sprawcie, by ludzkość z krwi i łez wybrnęła
 Na bezsłoneczną, bezwietrzaną suszę,
 Z której do cierpień i mąk kołowrotu,
 Jedynej z nie-złud, niema już powrotu
 Tym, co w Nirwanie wykąpali duszę.
 Czemże jest lampa, której płomień zwiano?
 Czem spity słońcem rannej rosy atom?
 Czem grom, co w niebios przebrzmiał już otchłani?
 W tajniach mej duszy wszczęta, wstań, Nirwano!
 Ja, Buddha, niosę cię znękanym światom —
Om mani padme hum, om mani...

Odtąd na czele rzeszy słów mych głodnej
 Szedłem litośny i w duchu pogodny,
 Głosząc naukę nad pojęcie wzniosłą
 O pięciu światach, o niezłomnem prawie,
 O ośmiorakiej Ścieżce w doskonałość;
 Z czego cierpienie na świecie wyrosło
 I jak nie wierzyć oczywistej jawie
 I jak uzyskać niezachwianą stałość
 Na wciąż toczącym się przemiany kole,

I gdzie zaczepia koła tego piasta
 I jak dążący mężnie ku Nirwanie
 Przez natężoną w sobie silną wolę
 Osiąga coraz-to zwiewniejsze trwanie,
 Aż w końcu w beznic na wiek wieków wrasta.

Tak-to uczyłem, a prawd moich słońce
 Jako pożoga przez wyschnięte stepy
 Szło. I zbiegali się do mnie cierpiące
 Bramin i Sudra, widzący i ślepy,
 Starcy o lasce i dziatwa nieletnia,
 Iż dróg mych jeszcze nie uszedł połowy,
 A już widziałem, jako się rozkwietnia
 Ziarno, rzucone w zwiędłe od trosk dusze.
 I szli odemnie w dżungle i pustelnie
 I w bractwach trwali na modłach i skrusze,
 Piers swą przed Kamą zamykając szczelnie.

Mijały lata, a gdym już osądził,
 Że łan ze złego oczyściłem chwastu
 I ze rdzy ziemskiej i trądu odtrądził,
 Aby i swoim nieść słowa balsamy,
 Zwróciłem krok mój do Kapilawastu.
 Jużem rodzica nie zastał przy życiu
 Ani strawionej żalem Yasodhary,
 Zato Rahuli, syn nasz, dziecię moje...
 Mówiono: Wyszedł z innemi za bramy
 Pomiędzy skalne w pustyni pieczary,

Aby zwycięskie z Kama toczyć boje.
Szedłem odwiedzić go w skalnem ukryciu.

W pierwszym do onej pustelni wąwozie
Spojrzę: a oto na cierniów powrozie,
Z którego tylko jedna śmierć go zdejmie,
Nie człek, lecz suszar kostropaty wisi,
A wokrag niego żółci klęczą mnisi
I patrzą w iście nadczłowieczą mękę.
— Gdzie jest Rahuli? — spytam ich uprzejmie.
Widząc, że milczą przez milczenia śluby,
W dal pytającą wyciągnąłem rękę,
Kędy jak bocian na skostniałej nodze
Z omotanemi łańcuchem przeguby,
Co się w zropiałe ciało wżerał srodze,
Stał cień człowieka i jak obłąkani
Krzyczał w niebiosy: *Om mani, om mani!*...
Szedłem ku niemu, aż oto z nienagła
Jakiś kłęb ciała do nóg mi się stoczy.
Poglądał pilno, twarz jak z bronzu smagła
Jako u gazel łzami zaszłe oczy,
Oczy mi znane, oczy Yasodhary.
— Rahuli, synu, tyżeś to, me dziecię?

„Jam nim, Siddartho, syn twój z krwi i z ducha.
„Boskich twych nauk wyznawca i uczeń,
„Szukam Nirwany na tym jeszcze świecie.
„Patrz, jaka we mnie pokora i skrucha!
„By wejść na Ścieżkę — zacząłem od stłuczeń
„Płonącą głównią, na bolące sińce
„Białą sypałem sól i jad robactwa,

„Byle się tylko dostać na gościńce,
 „Którymi kroczą nasze święte bractwa.
 „A teraz, widzisz? zwalczyłem naturę...”

— Rahuli, synu! gdzie są twoje dłonie?
 Czemu uparcie kryjesz je pod skórę?
 Co!! — więc tyś póty trzymał je na łonie,
 Póty krwawemi zaciskał powrosły,
 Aż poprzez mięśnie do trzewiów ci wrosły!
 Jakto? więc to są mych nauk owoce
 Te żywe trupy, te bezkształtne kłoce?
 Więc, aby z koła cierpień się wydostać,
 Jenó się ranić umiecie i chłostać,
 Do męki mękę dodając okrutną?
 O jakże cierpień, o jakże mi smutno,
 O jakżeś ty mnie synu upokorzył,
 Jakążeś przepaść przedemną otworzył.
 Więc niema kresu mym wcieleniom Buddy?
 Duch był w Nirwanie, a oto znów ożył
 Na nowe męki, cierpienia i złudy — —
 Przy tobie, Kamo, zostało zwycięstwo,
 A przy mnie czynu niemoc i przekleństwo!



Wszechniemoc czynu... I nigdzie osto
 Dla wzlatującej poza widnokregi
 Nienasyconej niczem żądy mojej,
 Mojej wždy twórczej nad łomem potęgi.

Wszechprzemoc złudy... I nigdzie zatoki,
 Gdzieby kotwicę rzuciła tęsknota
 I piła w brzegu słodkich wód potoki
 Choć gromy biją i fala się miota.

Nie, nie po stokroć! — Jest na głębiach ducha
 Moc, co niemocy wszelkiej jest przeczeniem,
 Moc, co nie zniesie żadnego łańcucha,
 Moc, co żelaznem uzbrojona chceniem,
 Długo tłumiona tem silniej wybucha
 I jest wszechjestestw ustawnem tworzeniem,
 Ustawnym pędem w dal nieprzepatrzoną!
 Ona-to każe pajęczkom w błękanie,
 Chociaż je wichry jesienne rozwioną,
 Snuć srebrne nicie.
 Ona-to każe przydrożnym badyłom,
 Chociaż je kosa nim dośpieją wytnie,
 A tchy pustynne tumanem przypylą,
 Kwitnąć błękitnie.
 Ona-to sprawia, że z wyżyny skalnej
 Pomimo wichru mroźnego i skwaru
 Strzela świerk halny,
 A zagnieżdżonych na nim ptaków łajno
 Zamienia pustać górskiego wizaru
 W ziem urodzajną.

Przez nią-to wody, gdy się w skały wedrą,
 Póty w nich krążą, aż zakrzepłe staną
 Jaskiń katedrą.
 Przez nią miotane orkanami prądy
 Tak długo kipią, aż mięciuchną pianą
 Wyrzeźbią lądy.
 W jej imię skrzydeł ostatnim wysiłkiem
 Ptak do łońskiego swego wraca gniazda,
 Przez nią na próżniach zrasta się pył z pyłkiem
 I nowa w niebie zapala się gwiazda.
 Przez nią i dla niej z bezwładnych snów matni
 Na nowy żywot a czyn mój ostatni
 Wstałem...

Gdziemkolwiek przyszedł, gdziemkolwiek się zjawił,
 Czyli w odwieczność to było czy w jutrznię,
 Zewsząd się do mnie zbiegał lud i słał
 Mnie i rybitwów przypozwanych w ucznie.
 Błogosławiła mnie maluczkich rzesza,
 Że i najmniejszym nie odjęto cześci.
 I snadź już boże królestwo nadspiesza,
 Jako Janowa puszcz obiecowała,
 Bo głusi słyszą, wstawają pogrześci,
 A Syn człowieczy grzeszniki rozgrzesza.

Chrzciłem świat z ognia, a świat mnie — z boleści!
 Skoryć duch w człeku, ale ciało w mdłobach!
 Bowiem nietyle nowej łaknąc wieści,
 Co raczej troszcząc się ze strony ciała,

Biegały za mną ludzkie rzesze one,
 Żądając, bym ich ratował w chorobach,
 I znosząc ku mnie powietrzem ruszone
 I tych, co tydzień już cuchnęli w grobach —
 I działa się im jako mię prosili!
 Lecz którzykolwiek byli utrudzeni,
 Nie z tego będąc lecz z onegoż świata,
 I serca nieśli, niczem na ościeni
 Zawieźgłe ryby, — ci się nie przykrzyli
 I nic nie chcieli, a owo zapłata
 Nie do wybrania stała się im w słowie,
 W cichości serc ich i ówdzie w przybytkach,
 Których nie widział nikt i nie nazowie,
 Choć co dnia w rannych palą się doświtkach
 I co dnia płoną o wieczornej zorzy.

Onym więc, co się troskali o wiele
 I mdli na ciele ale duchem skorzy
 Żądali we mnie mieć nauczyciela,
 Mówilem: proście a będzie wam dano
 Miłujcie drugich jako samych siebie,
 A gdy modlicie się na każde rano
 Módlcie się: Ojcze, który jesteś w niebie,
 Święć się Twe imię, przyjdź królestwo Twoje,
 Bądź wola Twoja tak w świetlicach nieba
 Jak i na ziemi, a za dzieńne znoje
 Daj nam naszego powszedniego chleba
 I racz odpuścić nam nasze przewiny,
 Jak winowajcom naszym odpuszczamy,

I na kuszące nie przywódź nas czyny,
 Lecz ode złego zbaw i puść w swe chramy! — —
 Onym zaś, którzy niczego nie chcieli,
 Jedno zważali na ducha obrzezkę
 I byli w sobie jako lilje w bieli,
 Rzekłem na górze w onę noc jarzącą:
 Błogosławieni ubodzy na duchu,
 Albowiem ich jest królestwo niebieskie;
 Błogosławieni, którzy się tu smęcą,
 Albowiem oni pocieszeni będą;
 Błogosławieni, których niemasz słuchu
 Dla ich cichości, — ci-ć ziemię posiedzą;
 Błogosławieni łaknący prawości,
 Albowiem oni będą nasyceni;
 Błogosławieni miłosierni, bowiem
 Pan miłosierdzia będzie ich wezglowiem;
 Błogosławieni, w których sercu gości
 Czystość, albowiem oglądają Boga;
 Błogosławieni pokój tu czyniący,
 Imię ich bowiem będzie: syny boże,
 Błogosławieni dla sprawiedliwości
 Prześladowanie i ucisk znoszący,
 Bowiem dostąpią niebieskiego proga.
 A i to jeszcze na koniec przyłożę:
 Błogosławieniście wy przeto właśnie,
 Że w świat pójdziecie na gniewy i waśnie,
 A on wam dla mnie jeno nazłorzeczy
 I w pęta poda i oplwa was śliną —
 Lecz światło, które ja daję, nie zgaśnie.

Albowiem ziemia i niebo przemina
Lecz nie przeminie, co rzekł Syn człowieczy.

Owo więc czynem, słowem i modlitwą
Pospółstwom onym i onym rybitwom
Ukazowałem, kędy im potucha
I odpocznienie i wieczna nagroda,
Owom kładł węgiel pod królestwo ducha,
W które wchodzili małuczcy i prości —
Ale starszyzna i czoło naroda,
Mniemając moc mą być z doczesnych włości
I że ich mocy urośnie stąd szkoda,
Pełni obludy i zapalczywości
Nocą pojмали mię na Getsemanie,
Osiekli różgą, oblekli szarłatem
I odsadzili na ukrzyżowanie,
Bym — jak mówili — z wyżyn władnął światem.
A to czynili, iżby się spełniło,
Co jeszcze miałem spełnić przed mogiłą.

Dzień był jak inne dni tego żywota,
Choć miał rozbłysnąć największym mym czynem.
Trzech nas z więzienia wleczono za wrota.
Szedłem obstępion strażami i gminem
Na ono wzgórze, nazwane Gulgota,
Na straszny pagór ów, com go przed wieki
Ujrzał w dniu pierwszym wędrówki dalekiej...
Jako mi gwoździe zabijali w ręce
I jako stopy żelazami bodli,
Jako z drwin świeckim wołali mię królem

I jakom krwią się pocił w onej męce —
 Zamilczę o tem i niepomnę więcej,
 Ani się kiedy język mój upodli,
 Ażeby biadać nad doczesnym bólem.
 Zato pamiętam, że z lewej i z prawej
 Tkwili podobni mi ciałem skazańce
 I jeden zamknął się w milczenia szance,
 A drugi zasię obrócił wzrok łzawy
 I wejrzał na mię tak głęboką wiarą
 I taką serca zapłonął ofiarą,
 Żem się ku niemu nad tłumem pochylił
 I począł mówić, abym go posilił.

— Świat ten ułuda i marność marności
 I upalenie serc i dusz tęsknota.
 Nic się nie otrwa na nim krom miłości.
 Przez nią jedyna droga do żywota,
 Przez nią jedyna nieomylna ścieżka
 W dom, gdzie wesele wszystkim zgotowiono.
 Kto cierpiąc wierzy — w domu tym zamieszka,
 Ojciec niebieski weźmie go na łono
 I upalenie serca w nim ugasi
 I duszę taką rozkoszą przyłasi,
 Że nie zapragnie już stamtąd wyraju.
 Wierzysz mym słowom?

„Mocno wierzę, Pani!”

— Dziś jeszcze, mówię, będziesz ze mną w raju.

Ledwom to wyrzekł — skonał, a skonanie,
 Miał jako człowiek, co po długim trudzie

Mruży powieki z uśmiechem na twarzy
I o zjawionym w śnie głębokim cudzie
Długo i słodko i rozkosznie marzy.

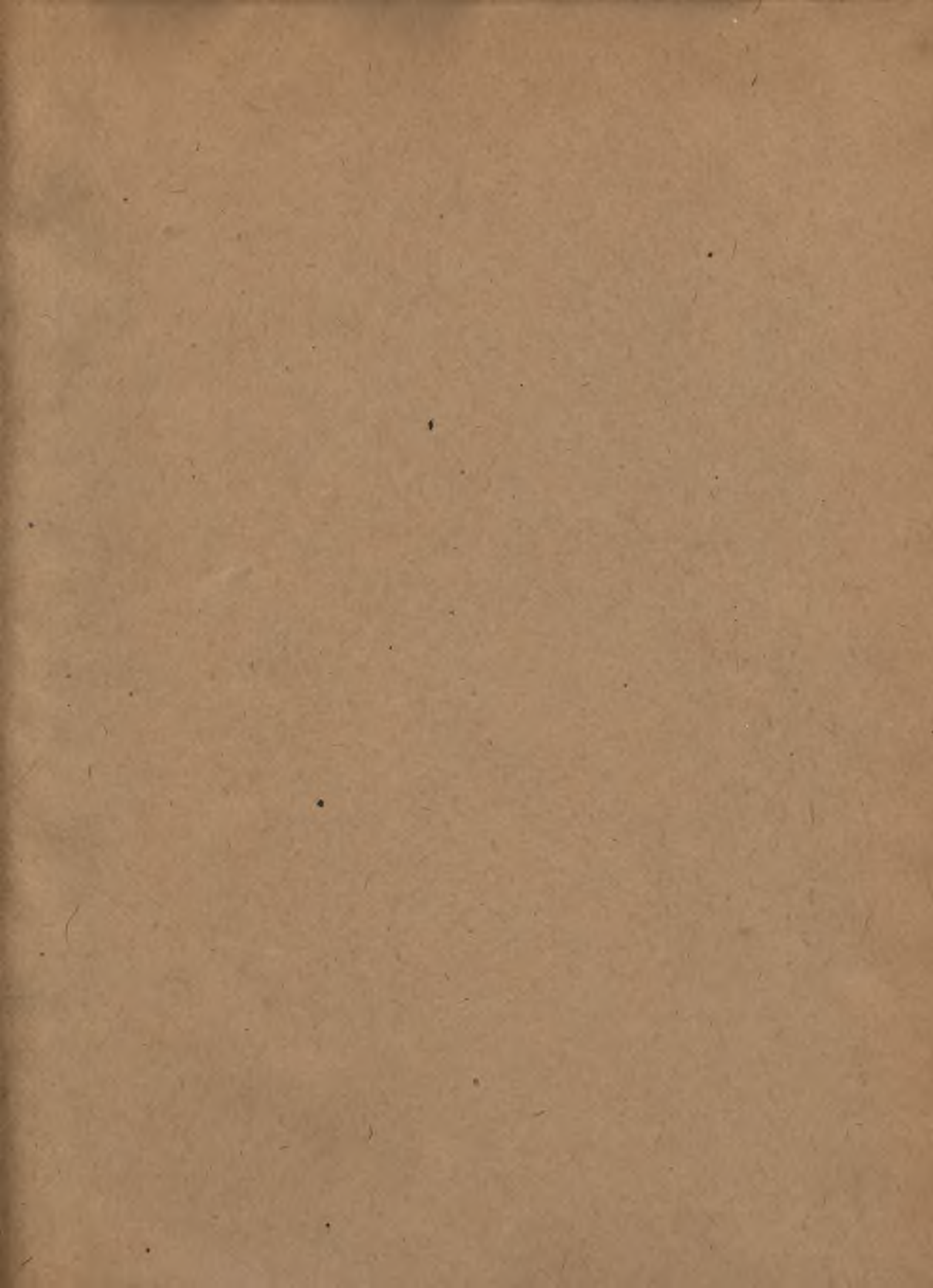
Skonał z uśmiechem, ale jam pozostał!
Wydan na tortur udrękę i skurcze
I na upalny wiatr, co pierś mą chłostał
I siekł mi w mózgach żądze moje twórcze.
Któż niebo nagiął tak jak ja je nagnę
Tym, co mrzeć będą po mnie na swym krzyżu?
Jam tego oto dokonał mą mocą!
A przecie, przecie w dali czy w pobliżu,
Gdzieś tuż koło mnie, nad mą skronią, we mnie
Głos jakiś woła nieustannie: Pragnę!
Z żółcią i octem gąbkę mi tkną... po co?
Sycić napróżno, poić nadaremnie?
Już wypełniło się, przybywaj śmierci! —
Dlaczego gwiazdy tak czarno migocą?
Ziemia się trzęsie, — czy pękła na ćwierci?
Czy słońce w krwawych utonęło rosach
I obłąkane zgasło na otchłani?
Czemuś opuścił mnie, Ojcze w niebiosach?
O Eli, Eli, lama sabachtani...!



Gdzie jestem? co to? śniłem czy w obłądzie
 Brnąłem przez głębie, gdzie duch z trwogi kona?
 Ta biel nademną... są-że to łabędzie
 Czy wzdętych żagli srebrzysta opona?
 Jak cicho wokół! tu i tam na fali
 Coraz to mgławiej i coraz nieśmiej
 Samotna gwiazda jeszcze skra się pali,
 Błyśnie i zgaśnie, zćmi się i znów spłonie,
 Aż bez szelestu na głębinach tonie.
 Jak cudnie wokół! tam obłok się bieli,
 Dźwignął się, słania, skręca i rozkręca,
 Stopą oderwał się od wód topieli,
 Śnieżną chorągwią w cztery strony powiał,
 Potem od jutrzni zaczerpnął rumieńca
 A potem cały jak róża sponsował,
 A potem rzucił głównie gorejące
 Dniowi na drogę...

Słońce, słońce, słońce!







Biblioteka Śląska w Katowicach

Id: 0030000444745



II 371900